SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:		Prenumerata z przesyłką:	
rocznie	12 koron (6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct. (6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „ (3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „ (3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „ (1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „ (1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

Słowianie i my.

Będąc bliscy współplemieńcom słowiańskim pod względem językowym, obyczajowym i geograficznym, niewątpliwie jednak pod względem politycznym znajdujemy się od nich przeważnie w nazbyt przyzwoitej odległości. Zjawisko to nie zawiera samo w sobie nic dziwnego i nadzwyczajnego, skoro się przyznaje, że Słowianie są szczepem składającym się z odrębnych narodowości a nie narodem jednolitym. Szczep słowiański nie różni się w tem od romańskiego i germańskiego. Gdy tylko w jakim szczepie wyrobiły się różne narodowościowe gałęzie, to wtedy każda z nich rośnie w osobnym kierunku, splatając się i spotykając niekoniecznie z najbliższą pochodzeniem. Nikogo nie dziwiły nigdy walki Niemców z Duńczykami i Szwedami, Francuzów z Hiszpanami i Włochami, Hiszpanów z Portugalczykami oraz łączenie się Włochów i Hiszpanów z germanami angielskimi i niemieckimi. Polityka nie zważa na szczepowe i językowe pokrewieństwo, i interes narodowy wytwarza sympatye niezależne od szczepu. Idea wolności i postępu zbliżała nas do Francyi i wciąż zbliża do Europy zachodniej, a wstręt do despotyzmu odrzuca nas od Moskwy.

Lecz czyż przepaść oddziela nas także od reszty Słowian? Czyż pokrewieństwo szczepowe nie ma żadnego znaczenia? Zdaje nam się, że jest ono ogromne, skoro tylko oprócz pokrewieństwa szczepowego, wspólny interes i wspólne prądy społeczne połączą pobratymców. Nadzieja czy mrzonka braterstwa ludów najłatwiej i najpierwej się urzeczywistni pomiędzy krewnymi. Jednakże pierwszy krok ku temu jest przypomnienie sobie tego, cośmy już sami zrobili w duchu łączności z ludami słowiańskimi oraz poznanie bliżej obecnego stanu umysłów, w Słowiańszczyźnie.

Dawno już zapomnieliśmy między innemi jak propaganda »Stowarzyszenia Ludu Polskiego«, czyli garstki najlepszych synów Polski około 1835 r., rozbudziła polskość na Szlązku i przyczyniła się do odrodzenia narodu czeskiego więcej, niżby to może teraz przyznać chciano nam w Czechach: zakładano gminy na Szląsku, a Lesław Łukaszewicz zawiązał stosunki ze słowianami, wysłannik narodu czeskiego Kampelik z Morawy przybywał do Rzeczypospolitej Krakowskiej, by uczestniczyć w naradach polskich patryotów-ludowców. Przypomnienie sobie zabiegów ducha demokratycznego u nas da nam ważną wskazówkę dla rozwiązania zagadki słowiańsko-polskiej. Albowiem uprzytomnieć sobie należy, że sąsiedzi nasi słowiańscy po większej części byli i są w stanie podobnym do tych części krajów polskich, które są pozbawione szlachty, jak Szląsk, Warmia, Mazury wschodnio-pruskie. W miarę wzmożenia się ducha demokratycznego i zajęcia się ludem naszym polskim nastaje zainteresowanie się ludami sąsiedniemi słowiańskiemi. Brak zrozumienia potrzeb ludu

własnego i obojętność dla niego wedle hasła: tam Polska tylko, gdzie szlachta polska, — sprawiają zupełne odwrócenie się od Słowiańszczyzny. Co nas wtedy obchodzą Słowacy, Morawa, Czechy, Słoweńcy itd., skoro nas nie interesują Szląsk, Mazowsze pruskie, Warmia, Kaszubi i Prusy Zachodnie?

Zbliżenie się do ludu własnego, przejęcie się i pogłębienie zasad głoszonych przez demokracyę naszą przedpowstaniową jest pierwszym i najpewniejszym krokiem ku zbliżeniu się do Słowiańszczyzny. Od tych tradycyi z przed 50-ciu laty dość daleko odeszliśmy; niejedno słusznie czy niesłusznie wydaje nam się niemożliwem lub trudnem, co ojcowie nasi uznawali za niezbędne, jak np. powszechne głosowanie. Powrót tych pojęć obecnie, szczęściem, wraca i obejmuje masy.

Lecz samo uderzenie się w piersi z naszej strony i rycerskie zwalanie całej winy na nas bynajmniej jeszcze nie rozjasni i nie rostrzygnie sprawy polsko-słowiańskiej. Gdybyśmy się przemienili w najskrajniejszych demokratów i ludowców i najżywiej zajęli się braćmi ze Szlązka i Prus, to i wtedy przepaść nas będzie dzieliła od pobratymców słowiańskich, dopóki oni też nie staną na tym samym gruncie i nie przejmą się zasadami prawdziwej wolności i równości wobec wszystkich, a szczególnie wobec caratu moskiewskiego. Znany i oklepany zarzut czyniony Polakom, że są zdrajcami Słowiańszczyzny i nieprzyjaciółmi Rosyi wyszedł z umysłów zacieśnionych walką narodowościową z Niemcami i Węgrami. Tym biednym mózgom zdaje się, że tu jedynie chodzi o walkę narodowością z naszej strony przeciw wpływowi narodowemu rosyjskiemu; carat zaś uważają za jedynego przedstawiciela narodu rosyjskiego, wrogów caratu za wrogów tegoż narodu i całej Słowiańszczyzny. Nie chce im się domyślać ani wierzyć w to, że tu wre walka wolności i cywilizacyi przeciw najsilniejszej warowni despotyzmu i bar barzyństwa azyatyckiego, usiłującego się odziać w szaty europejskie. Toć już socyaliści nasi, kosmopolici, przejrzeli i widzą, że być nie może teraz jak i dawniej mowy o postępie i dosko naleniu się społecznem pod rządami samowoli i despotyzmu.

Błędne mamy pojęcie o szczerości demokratycznych, postępowych i wolnościowych pojęć n. p. młodoczechów. Obecny ruch młodzieńczy radykalny w samych Czechach jest raczej prześladowany, niż poparty przez nich, radykałów potępiają oni jako polonofilów. Wynurzywszy się przed młodoczechem ze swemi sympatyami dla narodu rosyjskiego wnet spostrzeżesz, że myśli on tylko o caracie a będzie usiłował zmienić rozmowę, skoro sympatycznie wspomnisz o rewolucyonistach rosyjskich.

Pobratymcy nasi słowiańscy nie zawsze rozumieją, że walczylibyśmy przeciw caratowi nawet gdyby w Petersburgu i Moskwie mówiono po polsku, a chęć ich narzucania nam sympatyi rosysyjskich, spotyka podwójny opór narodowo-patryotyczny i ogólno-ludzki. Niezrozumienie tego polskiego stanowiska i upieranie się przy straszeniu Niemców i Węgrów nie tyle Rosyą ile caratem, dowodzi pewnej niedojrzałości politycznej. Oby nie doznali słuszności przysłowia: zamienił stryjek na siekierkę kijek! By tak się nie stało, stoimy my na straży i to wszyscy, bez różnicy stronnictw, z posterunku tego nie zejdziemy, chyba zetrą nas na proch. Niestety straż ta dotąd największe przysługi wyświadcza Niemcom, którzy bez niej ani nie urzeczywistniliby swych ideałów zjednoczenia, ani mogliby się ostać wobec naporu francusko-rosyjskiego.

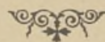

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zamordowanie Carnota. — Zamach na Crispi'ego. — Anarchistyczny fanatyzm, przypominający kosmopolityczny fanatyzm dawnych wieków. — Zwycięztwo Wekerlego i religii. — Źle Jakobsonowi bez Stambułowa. — Milanowicz jedzie do Sułtana. — Encyklika o wierze i OO. Jezuici.

Telegraf przyniósł nam nadzwyczaj ważną wiadomość: prezydent Rzeczypospolitej francuskiej, *Sadi-Carnot, został zamordowany* 24 czerwca przez włoskiego anarchistę. Objawy anarchistycznego ruchu, które raziły dotychczas bezmyślnością, nielogicznością, zakrawającą często na zwykłą zwierzęcość, jak u osławionego Ravachola, przybierają bardzo poważny charakter; widać, że ci sekciarze chcą rzeczywiście zniszczyć cały teraźniejszy, podług ich wyrażenia, *burżuazny* ustrój społeczny i zaczynają od głowy. Teraźniejszy zamach jest z tego powodu podwójnie szkodliwy. Carnot nie był wcale

głową tego porządku, ani winowajcą nadużyć francuskiego rządu, ale po prostu odpowiedzialnym urzędnikiem, przedstawicielem woli wiekszości narodu, a nie pewnych klas czy koteryi — nie miał on prawie władzy wykonawczej, a osobiście odznaczał się wielkiem umiarkowaniem, do takiego stopnia, że Francuzi, lubiący w ogóle rządy *silne*, szydzili z niego, jako z »drewnianego« prezydenta. Szalony ten cios anarchistów trafia zatem w zasadę samorządu narodowego, i może tylko zachęcić do wprowadzenia absolutyzmu czy dyktatury. Z drugiej strony wykonanie tej zbrodni w Paryżu przez cudzoziemca, Włocha, jeszcze bardziej rozjątrzy międzynarodowe zatargi dwóch bratnich narodów, powstałe z błahych, czysto handlowych powodów i posłuży tylko tym, którzy z tych zatargów korzystają i korzystali, dla ciemiężenia wszystkich narodowości. Nie możemy zatem zbyt silnie napiętnować tego szalonego morderstwa, a jeszcze bardziej fałszywą naukę, z której ono wypłynęło, i podług której kapitalistyczny, ekonomiczny ustrój jest przyczyną wszystkiego złego, pomimo wszelkich innych politycznych, obyczajowych religijnych i narodowościowych warunków. Cały bowiem rządowy ustrój francuski wcale nie powstał pod wpływem kapitalizmu; rozwielmożnił się dla tego, że wszystkie rewolucye, których tyle było we Francyi, zostawiły nietkniętą smutną centralistyczną spuściznę Ludwika XIV., i owszem, jeszcze ją wzmocniły.

Bądź co bądź nastanie teraz bardzo naturalnie ogromna represya, która jak zwykle w takich wypadkach, dotknie głównie niewinnych, zupełnie tak samo jak anarchistyczny sztylet zgładził najzupełniej niewinnego przedstawiciela narodu francuskiego. Smutne to skutki jeszcze smutniejszych doktryn, które powstały z najsmutniejszego wyrzeczenia się dawnych zasad i ideałów, i hołdowania jedynie *interesom!*

Zamordowanie Carnota jest prawdopodobnie w związku z innym zamachem, który został wykonany także w czerwcu na innym naczelniku rządu parlamentarnego, na ministrze włoskim Crispi'm. Crispi szczęśliwie ocałał, ale ten zbieg okoliczności daje wiele do myślenia. Nie ma wątpliwości, że spisek anarchistów jest szeroko rozgałęziony i że, chociaż nieliczni, anarchiści odznaczają się ogromnym fanatyzmem, przypominającym ten, z którym w XVI. i XVII. wieku uczniowie Jezuitów polowali na ówczesne głowy koronowane na Wilhelma Orańskiego, na Elżbietę angielską i jej następcę Jakóba, na Henryka IV. francuskiego. Wieki mijają, a te same doktryny wydają zupełnie te same skutki: nawet kosmopolityzm i tu i tam główną rolę odgrywa.

Przejdźmy do weselszych obrazów, chociaż ich teraz w ogóle bardzo mało na świecie. Przesilenie w Węgrzech szczęśliwie minęło, głównie dzięki znanemu taktowi Cesarza Franciszka Józefa, który się nim ciągle odznaczał w bardzo nieraz krytycznych chwilach swojego długiego panowania. Taka jest atoli zawziętość wstecznych żywiołów, że pomimo pomocy samej korony, wniosek Wekerlego przeszedł 22. czerwca w Izbie magnatów tylko większością 4 głosów. Naród węgierski uspokoił się od razu i może się teraz poszczycić, że posiada ustawę daleko korzystniejszą i dla wolności i dla religii, niż osławiona *bezwyznaniowość*, którą chcieli z tamtej strony Litawy zagwarantować wolność sumienia. Węgierska ustawa wcale ślubów kościelnych nie krępuje, a niszczy jedynie przewagę, którą sobie Kościół katolicki chciał przywłaszczyć nad innemi wyznaniami w kwestyi ślubów mieszanych. Z resztą zasada ślubów cywilnych dawno jest przyjęta w najreligijniejszych, nawet purytańskich krajach, jakimi są Szkocya, Szwajcarya, Zjednoczone Stany, i wcale nie doprowadziła do upadku religii, jak twierdzą *Czasy* i *Przeglądy*.

Zresztą musielibyśmy tylko powtórzyć to, o czemśmy pisali w ostatkich numerach *Słowa Polskiego*. Zwrot Ferdynanda Bułgarskiego ku Rosyi, zaznacza się coraz bardziej, tak że zaaresztowano nawet w Ruszczuku znanego Jakobsona, który wydał ongi Stambułowowi dokumenty tak kompromitujące rząd moskiewski. Nie wydano go jednak Moskwie, jak pisano w gazetach, a niebawem uwolniono; ale pewno p. Stoiłowowi na chęci »ekstradycyi« nie zbywało.

Za to Milan serbski posłał swojego syneczka z wizytą do sułtana tureckiego i chce widać znowu zawiązać z Carogrodem przyjazne stosunki, które sam niegdyś, pod wpływem Rosyi, tak gwałtownie był zerwał. Nie wiele mu to jednak pomoże, i możemy wkrótce oczekiwać w Serbii nowych i gwałtownych przewrotów, bo wszystkie stronnictwa odsuwają się powoli od nowego rządu,

*

który nie ma ani moralnej powagi, ani łączności z narodem, a jedynie siłę bagnetów za sobą. Dla większych państw to wystarcza czasem, ale nie dla takich państewek.

Nareszcie drugi zwrot ku Rosyi, już zaznaczony w encyklice do *polskich biskupów,* jeszcze się bardziej uwydatnia w nowym okólniku Leona XIII., którego tekstu dotychczas nie posiadamy. O ile można sądzić o tej encyklice ze streszczeń, głowa Kościoła bardzo jasno zaznacza, że zbliżenie katolicyzmu do prawosławia nie należy wcale do rzeczy niemożliwych, i powtarza, choć ogledniej, pochwały O. Vanutellego grecko-rosyjskiej wierze, na które niedawno tak zawzięcie napadały nasze katolickie dzienniki. Razi tylko jeden ustęp, jeśli jest prawdziwy, który pokazuje, że pomimo całej swojej mądrości Ojciec Święty hołduje bardzo przedwziętym ideom i spóźnił się, co do ocenienia faktów, przynajmniej o jakie sto lat z górą. Oto wspólny wróg, przeciw któremu walczyć ma połączona katolicko-prawosławna religia, jest głównie (*risum teneatis*) *farmasoństwo.* Ów straszny smok, o którym prócz rzymskich dygnitarzy, nikt w ostatnich przynajmniej czasach nie słyszał, bo siedzi sobie najspokojniej w swojej jaskini przy butelce wina, — jest zresztą oddawna ulubionem straszydłem OO. Jezuitów, i tem się tłómaczy to, że się pojawił w encyklice *O wierze,* obok zachęty do katolickiego socyalizmu, któremu jak wiadomo, także hołdują Jezuici. Wpływ towarzystwa Jezusowego jest teraz widać w Watykanie panującym, a połączenie się wzrastającej przewagi tych, których ojcowie nasi (aż do Szujskiego włącznie) uważali za główną przyczynę upadku Polski, z wyraźnem poświęceniem Polski Moskwie przez Głowę Kościoła, nasuwa na myśl bardzo smutne przeczucia, z którymi na dzisiaj pożegnamy czytelnika.

P. S.

Wśród ogólnego wzburzenia w całym kraju, bezsensowych napaści na zupełnie niewinnych Włochów i wogóle na zamieszkałych we Francyi cudzoziemców, których Francuzi prześladują ciągle z czysto ekonomicznych, handlowych pobudek, odbyło się w Wersalu 27. czerwca przez zjednoczone izby wybór nowego prezydenta. Większa połowa głosów padła na byłego ministra *Kazimierza Periera,* przywódzcę tak zwanego umiarkowanego republikańskiego stronnictwa, a właściwie tych reakcyjnych żywiołów, które się z musu pogodziły z teraźniejszą formą rządu. To było do przewidzenia po takim zamachu krańcowych sekciarzy, i przedstawiciel radykałów, *Brisson,* otrzymał tylko 195 głosów na 845 głosujących. Nazwisko Periera jest dla nas Polaków złowrogiem, bo nie mówiąc już o tem, że sam prezydent jest otwartym przyjacielem Moskwy, jak wszyscy katolicy i monarchiści francuscy, jego dziad, tego samego imienia, minister Ludwika Filipa po 1830 r, wyrządził sprawie polskiej nadzwyczajną szkodę, za co ściągnął na siebie przekleństwo Mickiewicza w »księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego«. Zobaczymy, jak nowy prezydent potrafi poprowadzić dziedziczną politykę swojej rodziny, która już tyle szkód wyrządziła samej Francyi i światu całemu.

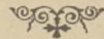

NAUKA.

SPIRYTYZM.

(Ciąg dalszy).

IV.

Spirytyści aż do znudzenia powtarzają swe żale i zaskarżenia przeciwko nauce, że ta nie chce nic widzieć o faktach, które naocznie mają wykazywać prawdziwość ich wierzeń. W tych skargach nie wiadomo, co bardziej podziwiać należy, czy naiwność, nie zdającą sobie sprawy ze swych żądań, czy obłudę, wytaczającą przeciwko innym skargę ażeby ją od siebie odwrócić. Jeżeli bowiem chodzi im o to, ażeby nauka przyjęła na wiarę wszystkie cuda spirytystyczne, to dają tem dowód, że najmniejszego pojęcia nie mają o tem, czem jest nauka i jakie są jej wymagania. Najpierwszym obowiązkiem nauki jest sprawdzenie faktu. Drogą do tego wiodącą jest doświadczenie t. j. odtworzenie faktu. Drugim obowiązkiem jest jego wyjaśnienie, które polega na wykryciu jego przyczyny. Jak w jednym tak i w drugim wypadku musi nauka znać warunki, w jakich badany fakt zachodzi. Nauka więc jest docho-

dzeniem prawdy — i to tylko może ona za taką przyjąć, co wytrzymało próbę doświadczenia i krytyki rozumowej, co dało się podciągnąć pod pewne zasady, stanowiące podwalinę wiedzy ludzkiej. Jeżeli zaś żądają, ażeby nauka zajęła się zbadaniem faktów, do których się odwołują w swej wierze w nadziemskie siły — to najprzód dopuszczają się rażącej sprzeczności z sobą, a na stępnie grzeszą obłudą, a przynajmniej niewiadomością, trudną do wytłómaczenia, o tem, co się w koło nich dzieje i co bezpośrednio ich dotyczy. Potępiać naukę, jako najgrubszy materyalizm, tłumiący w duszy najszlachetniejsze porywy, zarzucać jej nihilistyczne dążności, podkopujące zasadnicze podstawy życia ludzkiego, i jednocześnie żądać od niej uznania dla siebie, patentu na swój wynalazek, który ma właśnie zabezpieczyć ludzkość od następstw, jakie z powyższych dążności nauki mają dla niej wyniknąć, jestto popełniać niekonsekwencyę, na której określenie brak wyrazu.

Zarzucać zaś nauce, że ta nie chce i słyszeć o faktach, na których się opiera spirytyzm, jest jedno z dwojga: albo nie wiedzieć, co się dzieje na świecie, albo udawać, że się nic nie wie. Że większej części wyznawcom spirytyzmu wcale nie jest wiadomo, co nauka zrobiła w zakresie zjawisk, odnoszących się do ich wierzeń, można temu wierzyć, nie podobna atoli przypuścić, ażeby o tem nie wiedzieli ich przewódzcy. Przeciwko takiemu przypuszczeniu świadczy wymownie ich taktyka. W pierwszym okresie rozwoju spirytyzmu poświęcone jego rozpowszechnieniu pisma zajęte były przeważnie opisywaniem doświadczeń, jakie były czynione w czasie posiedzeń. Podawały one szczegóły, z których nietrudne było wywnioskować, jakie są warunki owych doświadczeń. Jakoż nauka nie omieszkała z nich skorzystać Sprawdziła ona, że we właściwych warunkach stoliki obracają się, dają odpowiedzi na pytania, ekierki i ołówki piszą, ale zarazem wykazała, że we wszystkich tych cudach nie ma nic cudownego, że ich przyczyna nie leży w jakichś siłach nadprzyrodzonych, ale w siłach zwykłych, oddawna znanych światu. Wyniki tego rodzaju, rzecz prosta, nie mogły przypaść do smaku zagorzałym wyznawcom sił nadprzyrodzonych. Od tej też chwili charakter ich pism zmienił się stanowczo. Zamiast opisów zapełniają się one objawieniami z tamtego świata, albo też kłótniami z sobą z powodu różnic w zapatrywaniach na te same fakty. Jeżeli i napotykają się w nich wzmianki o doświadczeniach, to są one gołosłowne — i o sposobach ich wykonywania domyśleć się z nich niepodobna. Nic więc dziwnego, że nauka, pozbawiona możności sprawdzenia wszystkich tych cudów, o jakich spirytyści prawią, albo nic o nich nie mówi, jako o rzeczy dla niej nie istniejącej, albo zalicza je do złudzeń i do sztuczek kuglarskich.

Pierwszym uczonym, który zajął się zbadaniem znanych za jego czasów zjawisk spirytystycznych, był sławny fizyk i chemik francuzki Chevreul. Był on lepiej, niż kto inny do tego przygotowany. Jeszcze bowiem w r. 1833, a więc na wiele lat przed ukazaniem się stolików wirujących, poznał on dokładnie i wyjaśnił, na czem polegają cudowne zjawiska, przypisywane tak zwanemu Odylowi, nowej sile, wymyślonej przez Reichenbacha. Do takich zjawisk należała pałeczka czarodziejska, używana przez poszukiwaczów źródeł i minerałów, znajdujących się w ziemi, oraz pierścionek, wykonywający wahadłowe ruchy i oznaczający godziny. Pałeczka czarodziejska miała tę własność, że za zbliżeniem się do miejsca, w którem znajdowało się źródło, albo szukany minerał, przechylała się powoli i w ten sposób oznaczała, gdzie należy rozpocząć poszukiwania. Zdarzało się, że wskazówki czarodziejskiej pałeczki były trafne, częściej jednakże one zawodziły. Ruchy pałeczki sprawdził Chevreul, ale wykazał, że przyczyną ich nie jest żadna siła nowa, ale mimowolne ruchy ręki, na której owa pałeczka spoczywa. Ręka, utrzymywana dłużej w tem samem położeniu, wykonywa ruchy rytmiczne. Ruchy te pod wpływem uwagi wyczekującej przybierają kierunek, odpowiadający oczekiwanemu wypadkowi. Taki poszukiwacz źródeł wodnych lub minerałów zazwyczaj, starał się poprzednio poznać właściwości gruntu, do czego służyły mu bądź pewne wiadomości, z praktyki nabyte, bądź wskazówki, udzielone ma przez mieszkańców okolicy. W czasie poszukiwania starał się, on wszystkie swe myśli skupić w jednym kierunku, którym było oczekiwane przechylenie się pałeczki w miejscu, zawierającem w sobie przypuszczalnie pożądany produkt ziemny. W chwili, gdy się zbliżył do miejsca, które zdawało mu się być

celem jego poszukiwań,ześrodkowana przez uwagę energia jego mózgu wyzwalała się i przenikała do mięśni ręki, nadając jej ruch, odpowiedni tkwiącemu w jego umyśle wyobrażeniu. Ze przyczyną cudownych własności pałeczki czarodziejskiej są warunki czysto psycho-fizyologiczne, dowodzi tego doświadczenie, które wtedy tylko bywa skutecznem, gdy mu towarzyszy pilna uwaga i pewność oczekiwanego wypadku; przeciwnie staje się zawodnem, gdy wypadek poszukiwań jest niepewny, i gdy robiący je bywa roztargnionym. W ten sam sposób daje się wytłómaczyć i ruch wahadłowy pierścionka, zawieszonego na palcu. Najmniejsze odwrócenie uwagi od ruchu pierścionka staje się powodem jego nieprawidłowości. Wybija zaś godzinę o właściwej porze wtedy tylko, gdy wiemy dokładnie, kiedy oczekiwana godzina nastąpi.

Każdy się zgodzi, że jestto jedyne wyjaśnienie powyższych faktów, zgodne z zasadniczemi podstawami wiedzy ludzkiej. Nie podobna już dziś wątpić, że ciało i dusza, bez względu na to, czem one są, i w jaki sposób na się oddziaływają — stanowią jedność organiczną, i że każdemu ruchowi duszy towarzyszy zawsze odpowiedni ruch w ciele, który stanowi naturalne pościelisko wszelkich czynności duchowych.

Doszedłszy do takich wyników w zakresie badań nad kilku zjawiskami zagadkowemi, nie trudno było Chevreul'owi zastosować je do wytłumaczenia wszystkich innych, mających z tamtemi to wspólnego, że były tak samo objawami ruchów, pozornie samodzielnych, a przynajmniej zdających się nie podlegać prawom mechaniki. Jakoż w pracy swej, ogłoszonej w r. 1854 z powodu stolików wirujących, które właśnie w tym czasie ukazały się, a noszącej zagłówek: »De la baguette divinatoire, du pendu le dit explorateur et des tables tournantes« — zaliczył on stoły wirujące do tej samej kategoryi zjawisk, do jakiej należą pałeczka czarodziejska i pierścionek, wykonywujący ruchy wahadłowe, słowem, uznał, że jedyną przyczyną ruchów wirujących stolików jest boczne ciśnienie rąk nad niemi trzymanych, ciśnienie mimowolne, wywierane pod wpływem oczekującej uwagi. Wyjaśnienie to sprawdził za pomocą dowcipnie obmyślonego doświadczenia znakomity fizyk angielski, Faraday.

Po stolikach wirujących pojawiły się »gadające«, jak powiadają francuzi t. j. takie, które odpowiadały na pytania za pomocą wystukiwania nóżką. Zdawało się, że w obec tego nowego zjawiska, wyjaśnienia, odnoszące się do się do stolików wirujących, na nic się nie przydadzą. Tymczasem pilna obserwacya faktu dająca poznać dokładnie wszystkie jego warunki, pozwoliła Carpenterowi, znanemu fizyologowi angielskiemu, dowieść, że i w tym wypadku ma się do czynienia nie ze zjawiskiem nadprzyrodzonem, ale ze zwykłym objawem ruchów automatycznych. Głównym warunkiem działania stolika jest wiara w to działanie i jego wyczekiwanie. Jeżeli wśród biorących udział w doświadczeniu znajdzie się choć jeden niedowiarek, stolik albo zgoła nie działa, albo bałamuci. Udzielane przez niego odpowiedzi nigdy nie przekraczają zakresu wiadomości osób, będących w zetknięciu ze stolikiem — i zazwyczaj są o tyleż rozsądne, o ile są niemi pytania mu zadawane. Co więcej, odpowiedzi te wypadają zwykle w duchu osoby, która najwyraźniej sformułowuje w myśli oczekiwaną odpowiedź. Nareszcie stolik pokąd tylko działa, pokąd trzymane są w zetknięciu z nim ręce, odjęcie ich choćby na chwilę od niego pozbawia go ruchu i możności dawania odpowiedzi. Nie inaczej ma się rzecz i z innemi zjawiskami tego rodzaju: z ekierką piszącą i z ołówkiem, który trzymany w palcach pisze. Ekierka i ołówek piszą tylko wtedy, gdy cała uwaga na nich bywa skupiona. Odwrócenie od nich oczu, chwilowe roztargnienie wystarczają do przerwania ich czynności. We wszystkich tych zjawiskach najdziwniejszem wydaje się to, że odpowiedzi stolika bywają zwykle, a przynajmniej często nieprzewidziane, że zdania, wypisywane przez ekierkę i ołówek, wypowiadają myśli, których się nie miało w czasie doświadczenia. Nadzwyczajność ta łatwo daje się wytłómaczyć tem, że podczas doświadczenia uwaga nasza zajęta jest głównie mechaniczną stroną faktu i nie uświadamiamy wtedy swych myśli. W każdym razie zostajemy pod panowaniem pewnych pragnień i obaw na wpół świadomych, w których duchu bywają czynione pytania i w ich też duchu otrzymują się odpowiedzi. W ten sposób należy pojmować i zdania wypisywane przez ekierkę i ołówek. Zawierają one myśli, których w danej chwili nie byliśmy świadomi wyraźnie, ale które tkwiły w naszym umyśle i teraz do-

piero, dzięki pewnym warunkom wewnętrznym, sprzyjającym ich wystąpieniu, nasunęły się mimo naszej wiedzy i woli, jak to często się zdarza i w codziennem życiu, że niewiadomo, skąd i dla czego nastręczają się nam myśli, których nawet przez czas powien pozbyć się nie możemy. Umysł nasz zawsze jest czynnym — i jeżeli nie pracujemy nim dowolnie, skierowując jego myślenie ku pewnym przedmiotom, to sam on działa mocą kojarzenia wyobrażeń, wywołując z głębi pamięci myśli, które bez udziału naszej woli rozwijają się. Myśli te odziaływają jednocześnie na uczucia nasze i stają się nieraz przyczyną wzruszeń, które pobudzają nas do ruchów gwałtownych, krzyków i innych czysto automatycznych objawów.

Można było spodziewać się, że po wyjaśnieniu wszystkich zjawisk, które w początkowym okresie stanowiły podstawę spirytyzmu, zniknie on raz na zawsze i poprzestanie obałamucać ludzkie umysły. Tak jednakże nie stało się. Zachwianym on został, ale nie pokonanym. Nie dość że większość jego wyznawców, ciemnych i przesądnych, nic nie wiedziała o naukowych wyjaśnieniach jego zjawisk, a wielu z nich wiedzieć o nich nie chciało, ale co ważniejsza, że wkrótce znalazły się wśród nich jednostki, które zaczęły dokonywać cudów, o jakich dotąd tylko w bajkach dla dzieci opowiadano. To też w obec wznoszących się stołów, przesuwających się w powietrzu sprzętów, ukazujących się duchów, których można było dotykać i rozmawiać z nimi i temu podobnych nadzwyczajności, zapomniano o stolikach i ekierkach, pozostawiając je profanom, nieznającym ważniejszych rzeczy, i dyletantom, znajdującym w nich rozrywkę. Jakoż dzisiejszy spirytyzm polega głównie na tem, przyjmując owe zjawiska cudowne za objawy sił nadziemskich, stara się te siły wytłomaczyć i z tego lub innego ich pojmowania wysnuć najdalej sięgające wnioski, z których dałby się wytworzyć jakiś system nadprzyrodzonej wiedzy. Że w tych usiłowaniach czynną jest wyłącznie fantazya, żadnemi względami na naukowe doświadczenia nie krępowana, zbytecznem byłoby dowodzić. Zaufawszy bezpośredniemu postrzeganiu nie chcą spirytyści ani słyszeć o przestrogach, że zmysły ludzkie podlegają złudzeniom, że jedną z przyczyn tych złudzeń bywają uprzedzenia. Nie tylko nie czują potrzeby sprawdzania swych wierzeń, ale oburzają się na naukę, że ta żąda od nich dowodów, któreby zdolne były przekonać ją, że wszystkie te cuda, świadczące o siłach nadziemskich, ale zarazem obalające wszystkie prawdy, doświadczeniem wieków stwierdzone, nie są skutkiem obłędu podobnego do tego, jakiego doznają zahypnotyzowani, którzy wierzą wszystkiemu, co się im poddaje, którzy pijąc wodę, są przekonani, że piją wino, w których wmówić można, że są psami i będą jak psy szczekać i t. p.

Naturalnie, że nauka sama przez się nie może zabrać się do ich sprawdzenia, gdyż, jak słusznie powiedział Wundt, dla ich zbadania bardziej się nadaje zręczny ajent policyjny, niżeli uczony. Dla tego też zachowuje ona wobec nich stanowisko wyczekujące, do czego zmuszają ją sami spirytyści którzy szeroko rozprawiają o dziejących się na ich posiedzeniach cudach, ale milczą zaklęcie o warunkach, w jaki te cuda objawiają się. Czy robią to z obawy, czy dla tego, że będąc ofiarą zręcznych oszustów, nic o tych warunkach nie wiedzą? Zdaje się, że to ostatnie przypuszczenie jest słuszniejsze. Dzieje Bławackich, Cumberlandów Slade'ych, którzy zostali zdemaskowani, jako prości oszuści, przypuszczeni to usprawiedliwiają. Czyni je zaś więcej niż prawdopodobnem fakt, że wszystkie cuda spirtyzmu umieją wykonywać i to z większą jeszcze elegancyą, niż uprzywilejowane medya — kuglarze tacy, jak n. p. Chevalier Thorn i Ben-Ali-Bey, jak o tem każdy *przeciętny* lwowianin łatwo może się przekonać, udawszy się na ich przedstawienia. *)

Władysław Kozłowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

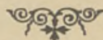

*) W poprzednim rozdziale artykułu »Spirytyzm« zakradły się błędy:

str. 326. wiersz 6. pierwsza kol. zamiast: słowiańskiego powinno być: Towiańskiego:
» w 27 » zamiast: rozprzężenie świadomości czytać: » osobowości.
» w 29 i 34 » zdwojenie świadomości czytać: » osobowości.

ASNYK JAKO POETA.

(Sylwetka literacka).

przez

Żdzisława.

»Oko ducha — powiedział Wiktor Hugo — nie może znaleść nigdzie więcej błysków i więcej cieni, jak w człowieku... Istnieje widok wspanialszy niż morze — jest nim niebo; istnieje widok wspanialszy, niż niebo — jest nim wnętrze duszy człowieka«.

— Wielki poeta powiedział prawdę. Dlatego też, chcąc scharakteryzować myśliciela lub Muz wybrańca, potrzeba zajrzeć do duchowej głębi jego, do sanktuaryum serca — a na tej dopiero podstawie budując, uwzględniając i wpływy zewnętrzne, które na rozwój umysłu nieraz wielki wpływ wywierają, można go pojąć, zrozumieć to, co wypowiedział, a więc i należycie ocenić.

Tą drogą zamierzam iść, zastanawiając się nad »mistrzem liryki polskiej«, nad *Adamem Asnykiem.* — Jeżeliby chodziło o psychologiczne wysłowienie się, to powiedzieć by można, że Asnyk posiada jeden z najgłówniejszych przymiotów poety, mianowicie w wysokim stopniu rozwiniętą »wrażliwość estetyczną«, polegającą na tem, że człowiek nią obdarzony odznacza się rozwiniętem samopoczuciem piękna, skutkiem czego wszelka dysharmonia estetyczna jest dlań wstrętna. U 28-letniego Asnyka (wtedy bowiem wyszły po raz pierwszy jego utwory), spostrzegamy już znakomite naginanie formy do myśli, tak że doskonała szata zewnętrzna ech jego lutni do ostatniej chwili nie zmieniła się prawie, jest taką jak i przedtem, a więc doskonałą i z biegiem czasu urozmaica się jedynie. Tę doskonałość formy tłumaczyć po części można wzorowaniem się na genialnych utworach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, tembardziej że wpływ potężnego tryumwiratu widocznym jest w pierwiosnkach poezyi Asnyka, a to w myśli przewodniej i w poglądzie na swiat, młodego podówczas poety — a jest tak silnym, że słusznie zaliczono Asnyka w swoim czasie do *romantyków.*

Pod wpływem Słowackiego powstał niezaprzeczenie »Sen grobów«. — Utwór ten — co do formy doskonały, jak wszystko co wyszło z pod pióra Asnyka — pełnym jest obrazów ponurych, westchnień za »bezechową przeszłością«, przekleństw rzuconych na współczesnych, -- ale pod względem myśli przewodniej, jak słusznie zaznacza Piotr Chmielowski, jest dość »niewyraźnym«. Myślą zasadniczą, wyłaniającą się z dość znacznym trudem na zewnątrz z pod poetyckiej osłony tercyn, jest rozbrat jaki panuje między poetą, a rzeczywistością Asnyk jak prawdziwy romantyk po odmalowaniu całej grozy sytuacyi, zstępuje do grobu:

»Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serca trza odjąć i głowę,
Aby nie słyszał *tłuszczy*, co się boi«.

Tą »tłuszczą« są ci wszyscy, którzy nie mogą, lub nie chcą zerwać więzów krępujących ich z rzeczywistością, ci którzy uwzględniają nieodbite konieczności życia, a nie bujają po niebie na skrzydłach uczucia lub fantazyi. Jak widzimy jest tu poeta w zupełnej zgodzie z romantykami, a w niezgodzie z otaczającym go światem. Ten protest przeciw przygniataniu ducha ludzkiego do ziemi, będący myślą zasadniczą »Snu grobów«, miał w swym czasie racyę bytu, jeżeli zważymy na upadek wyższych ideałów po powstaniu styczniowem, widoczny w jeremiadach i wskazówkach praktycznych Stańczyków, widzących jedyny cel w »pracy organicznej«, która, jak głosiła krakowska straż pożarna« wszelkie ideały narodowe zastąpić może i powinna. — Protest ten był jednakowoż za jednostronnym, pojęcia bowiem dynamiczności uczucia, lub zasada »mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił«, straciły dawne wyłączne znaczenie, umysły nie upojone haszyszem poetyckiego natchnienia, przyszły do przekonania, że poza sferą uczucia są wymogi twardej rzeczywistości — skutkiem tego zaś hasła »pozytywne« zyskiwały coraz większy zastęp zwolenników. — Ten chłodny powiew refleksyi oddziałał i na Asnyka. Dotychczas był on prawie romantykiem, marzycielskie usposobienie nie pozwalało mu zejść na grunt realny, ale umysł, wykształcony na naukach ekonomicznych i przyrodniczych, zniewalał go do opuszczenia szeregów pozostałych niedobitków romantyki i przyznania słuszności, nie pod jednym względem, odtrąconej od siebie »tłuszczy«. Skutkiem tego poeta dla którego »sen był życiem, przebudzenie śmiercią«, począł rozważać, zagłębiać się — a nie mogąc

swych poetyckich marzeń zgodzić z rzeczywistością, popadał w głęboki smutek, przechodzący w zniechęcenie, a nawet apatyę. Zniechęcenie to, a zarazem wyrzut i skarga, skierowane przeciw otoczeniu, najwidoczniejszymi są w słowach:

Przycichła pieśń i kona już
Nie budząc żadnego echa...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

albowiem człowiek:

Już się wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa —
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.
I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń...

Ten najprzykrzejszy może ze stanów psychicznych odtworzył El...y w swych utworach w sposób tak doskonały i łatwo zrozumiały dla wszystkich, że po wydaniu swych pierwszych utworów, noszących na sobie piętno pesymizmu, znalazł liczne grono zwolenników i wielbicieli.

Okres tego chwiejnego poglądu na świat nie wyszedł jednak poecie na szkodę, albowiem Asnyk przyswajał sobie. bezwiednie prawie, każdą myśl nową, każdy nowy objaw i przystrajał go w szaty poetyckie. Słowacki, Heine, Musset, pisarze greccy itd. wyłaniają się na zewnątrz z pod opon jego poezyi, objawiając się w doskonałości formy, w zmysłowości i platonizmie, w bluźnierstwach Byrono-Heinowskich lub w głębokiej wierze chrześcianina-ascety. Nie należy jednak przypuszczać jakoby Asnyk przerabiał w pięknie tkane wzory myśli lub uczucia innych na swym warsztacie poetyckim; nie był on naśladowcą bezdusznym — przeciwnie wszystkie myśli i uczucia, nieraz różnorodne przepływały przez mózg i serce jego, posiada bowiem nadzwyczaj czułą »wrażliwość psychologiczną«, pozwalającą przyjmować i rzeźbić misternie, w sposób sobie tylko właściwy, każdą myśl nową. odtwarzać na strunach uczucia każde drgnienie serca, — nie zatrzymując się specyalnie nad żadnem

Te same myśli, które odczuwamy w echach jego lutni, widoczne są i w prozie. Nie zamierzamy wcale zastanawiać się w niniejszym szkicu nad działalnością Asnyka jako prozaika lub dramaturga, (dlatego o »Kiejstucie« zawartym w IV. tomie mówić nie będę) rozszerzyłoby to bowiem znacznie rozmiary niniejszej rozprawki — zaznaczyć jednak wypada, że w prozie n. p. w »Walce stronnictw« El...y w ten sposób określa stanowisko poety: »My artyści, żyjąc w krainie czysto idealnej, nie mamy nawet pojęcia o przeciwstawieniu i walce zasad i stronnictw, znamy tylko jedną arystokracyę, a tą jest arystokracya geniuszu i piękności«.

Zaiste gdyby Asnyk i dalej pogardzał był »tłuszczą«, nie mogąc się zgodzić z rzeczywistością, nie posiadałby sławy, jaką się cieszy. Na szczęście stało się inaczej. Bezwzględna piękność i doskonałość haseł romantycznych bladła powoli w jego oczach, poczyna więc godzić swe ideały z nowymi prądami społeczymi — filozofia, polityka, nowe poglądy naukowe »pozytywistów« nie rażą go tak bardzo, a nawet stają się tematem niejednego pięknego utworu; że zaś faktycznie lubo nie bez mozolnej walki wewnętrznej. nastąpiła w pojęciach jego zmiana i zerwanie z romantyzmem, świadczy wiersz umieszczony w III. tomie Poezyi:

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci *do* istnienia,
Trzeba z *żywymi* naprzód iść
Po życie sięgać nowe...
. . . .
Wy nie *cofniecie* życia fal,
Nic *skargi* nie pomogą,
Bezsilne gniewy, *prożny* żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Co za szczęśliwa zmiana, otwierająca nowe drogi talentowi Asnyka! — Odtąd Asnyk nie jest tylko uczuciowym fantastą — romantykiem, ale i myślicielem, odczuwającym niemal każde uderzenie pulsu w ciele społeczeństwa polskigo; odtąd jak Mickiewicz w »Tadeuszu«, tak on w »Tatrach« odczuwa nietylko wszystko sercem, ale rozmyśla spokojnie nad zjawiskami, podlegającymi wspaniałym prawem natury, odtąd *refleksya* pozwala mu spoglądać na objawy życia społecznego oczyma nietylko widza, ale i uczestnika czynnego tychże, odtąd nie kraina »romantycznej złudy« ale rzeczywista kraina, której jest synem, — jej obywatele, walki których ona jest teatrem, stają się tematami jego poezyi. — Tych słów kilka zdawało mi się koniecznem wypowiedzieć przed przystąpie-

niem do uwag krytycznych nad ostatnim tomem Poezyi Asnyka, wydanym w Krakowie bieżącego roku. Jeżeli chodzi o szatę zewnętrzną, to zaznaczyć wypada, że Asnyk jak pierwej tak i w ostatnim tomie nie zmienił jej prawie, a przytem nie popadł wcale w manierę, jak to się wydarzało niejednemu ze znakomitych poetów naszych (Zaleski) u schyłku twórczości. Asnyk nie jest zmanierowanym wcale, poezya jego zyskała raczej, a nie straciła na swej dawnej sile i wyrazistości, forma nie stała się ani ociężałą, ani mniej wykwintną. — Przyczyny tego szukać należy w psychicznych własnościach poety, który (jak wyżej nadmieniłem) już w pierwszych swych utworach dał się poznać jako człowiek o niezwykłej wrażliwości estetycznej.

To poczucie piękna w połączeniu z siłą umysłu, opierającą się utrudzeniu, pozwoliły Asnykowi uniknąć błędów, w które podpadali często inni poeci polscy. Psychologiczna wrażliwość zaś, rozwinięta w wysokim stopniu, nie pozwoliła mu zamknąć się w sobie, zmusiła go niejako do odtworzenia prądów i idej nurtujących w współczesnem mu społeczeństwie, a żywy udział w życiu publicznem uczynił zeń nietylko myśliciela, ale wzniósł go nawet do wysokości krytyka objawów społecznego życia.

To właśnie jest przyczyną, że trzy akordy górują nad tonami wydobywanymi z lutni poety. *Pierwszy* z nich rozbrzmiewa ku czci Ojczyzny i zaznajamia nas z uczuciami poety, odczuwającego jej nieszczęśliwe położenie; *drugi*, to walka społeczna, kwestya socyalna, będąca dziś na porządku dziennym; *trzecim* zaś są zagadnienia filozoficzne, co do tajemniczości bytu i celu tak jednostek, jak i całej ludzkości. — Że Asnyk był zawsze i jest patryotą dowodzić nie potrzeba — kocha on Polskę gorąco ale i rozumnie; zastanawia się nad Jej przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Z tego co było najbardziej go obchodzi rok 1863, rok krwawych zapasów z despotyzmem — ten czas najszlachetniejszych uniesień ludzi młodych, gotowych złożyć w każdej chwili życie na ołtarzu Ojczyzny — oraz zimnego sobkostwa »białych«, sprowadzających rewolucyjny ruch na bezdroża... i wyzyskujących go nawet do celów osobistych. Asnyk gorący zwolennik tej tytanicznej walki, powstaniec z r. 1863, stacza przeto walkę historyozoficzno-poetyczną (w utworze »W 25. rocznicę powstania z 1863 r.«) z tymi którzy pamięć tego boju o wolność narodu szkalują.

Rok 1863 to rok nieszczęscia, patosem głoszą zwolennicy »trzeźwości«, a za nimi zgodnym chórem skomli cała zgraja najemnych pismaków.

»Wieleż to razy ciebie przeklinano
— powiada Asnyk —
A z tobą marzeń zdradliwą ponętę;
Za każdą świeżą z ręki wroga ranę
Zawsze twe imię wracało przeklęte
I zamrażało żywsze serc porywy
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar — dopóki
Męskim zapałem tchnęła pierś Heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono jak jawnogrzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano w jej lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Wszystko to w spadku po tobie zostało:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co widząc mdlejące już ciało
Śmieli doradzać samobójstwo ducha, —
I więzy, które mocniej się nam wpiły,
I łzy palące... i wstyd... i mogiły!

A jednak z czcią obchodzimy pamięć tego roku, najbliższa bowiem to z naszych pamiątek, tymczasowe zamknięcie rycerskiego rapsodu, skupiającego serca nasze przeciw wrogom wolności.

Nie jest on przeto »klątwą nieba«, ale był duchową potrzebą narodu, zmuszonego do wypowiedzenia przed obliczem wrogów nieśmiertelnego słowa: *jestem!*

Rok 1863 powstał na podstawie ruchów rewolucyjnych wstrząsających Europą, na podstawie działalności »wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie« i męczenników rwących się do czynu — nic przeto dziwnego, że musiały uderzyć żywiej wszystkie tętna i obudzić »gniew, zemstę i boleść namiętną nad poniżeniem i hańbą Ojczyzny«.

Ostatnia walka o wolność nasuwa poecie mimowoli porównanie tych gorących po-

rywów z działalnością teraźniejszych pseudopatryotów:

»Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W lada koniuszym lub dworskim lokaju
Zaraz Ojczyzny upatrywać zbawcę
I tym, co jawnie wyrzekli się Polski,
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał chodzić w kon-
[szachty
I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty,
Że to mąż stanu, lecz że zdrajca prosty
I nie wróżono nowej szczęścia ery,
Widząc na piersiach błyszczące ordery«.

Co za gorzka, przez łzy wypowiedziana ironia, jak przy tem pełna prawdy w zastosowaniu do naszych czasów! — Trzydzieści lat temu »idealne mary płynęły jeszcze nurtem tajnych koryt«, miłość bezbrzeżna dla Ojczyzny nie pozwalała przypuszczać, że łańcucha helotów zerwać nie zdołamy, wierzono że rewolucya doprowadzi do jutrzenki wolności!

Nie doprowadziła ona jednak do czasu świtania... »Tęczowe państwo, państwo romantycznej Muzy« prysnęło, czas rycerskiej służby przeminął — wieniec nawet cierniowy burza nieszczęść ze skroni nam zrzuciła. Miejsce dawnych marzeń o miłości i wolności ludów zajęła »epoka żelazna«, prorocy jej głoszą światu królestwo gwałtu i przemocy — a nowe, młode pokolenie wzrastające w tej przygnębiającej atmosferze, »zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy«, z chłodem i bez uniesień zatopiwszy wzrok w ziemię odwraca się lekceważąco od poprzedników, usiłując nawet zatrzeć ślad przeszłości. Przebacza im jednak poeta — kończąc apologię roku 63 słowami:

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce,
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobierce
I na trud przyszłych mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń«...

Nie leży w zamiarze moim dotykać skalpelem krytyki utworu, który jest wybuchem najczystszych, najpiękniejszych uczuć wielkiego poety — nie myślę analizować tego poetyczno-historyozoficzno raczej, niż historyozoficzno-poetycznego oddźwięku lutni mistrza liryzmu, nie będę udowadniał, czy słusznym jest, lub nie, optymistyczny pogląd poety na przeszłość a pesymistyczny na teraźniejszość, zaznaczam tylko, co nie bez racyi podnosi dr. Bełcikowski, że w chwili »gdy potomność do ostatecznego osądzenia tej sprawy zasiędzie« poetyczna obrona Asnyka »jako słowa jednego z naocznych świadków z należytą uwagą będzie słuchaną« i w wydaniu wyroku na szali zaważy«. — Nietylko w tym utworze słyszalnym jest ton miłości Ojczyzny, namiętne pragnienie wolności i niepodległości — prawie z każdego wiersza odzywa się mniej lub więcej głośno ów ton minorowy, to w formie ironii zrodzonej w głębinie serca, to w wybuchu pełnym ekstazy ku czci okajdanionej Ojczyzny, to w przestrodze skierowanej ku tym, w których rękach jej przyszłość spoczywa.

Walka społeczna między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi, to drugi temat rozmyślań Asnyka. Czarno, pesymistycznie zapatruje się Asnyk na walkę toczącą się wśród społeczeństw, z trwogą niemal przysłuchuje się podziemnym grzmotom nurtującym pod strupieszałem dzisiejszem społeczeństwem — a trwoga go ogarnia nie dla tego, że żal mu dotychczasowego gmachu społecznego życia, który się w gruzy lada chwila rozsypie, ale dlatego, że i w szeregach burzycieli nie widzi apostolstwa miłości i wolności ludów. Dzisiejsze społeczeństwo kapitalistyczne to:

»Ród leniwy, zabity i chory,
Co do podziemnej chce ukryć się nory,
Byle choć jedną przedłużyć godziną
Ten żywot zbiegów — co bez walki giną«.

Widząc tę skarłowaciałość i nędzotę umysłową dzisiejszego społeczeństwa odczuwa poeta tem silniej nędzę tych, którzy »nie znali nigdy co to jest dostatek, lecz znali tylko co trud i potrzeby«, mimo to nie może się przychylić ku stronie żadnego z obozów wojujących, bo jeden z nich w walce uledz musi... drugi zaś przejmuje poetę trwogą o przyszłość.

Ten pesymistyczny pogląd na świat przedstawił poeta najlepiej w utworze: »Wśród przełomu«, w którym właśnie bój ten na śmierć i życie odmalował. Dwa światy walczą ze sobą: świat kapitalistyczny, konający skutkiem wyczerpania sił moral-

nych i świat wyzyskiwanych, budzący się do życia wśród bolów ludzkości. Uznanie za słuszną zasady siła »przed prawem« sprowadziło ucisk słabszych, a brutalny ten ucisk zrodził odporność w gronie właśnie tych gnębionych helotów, powołując do czynu szermierzy pragnących także udziału w dobrach tego świata. Grzechy społeczeństwa kapistalistycznego skruszyły wszelkie podstawy moralne — nic przeto dziwnego, że nowe teorye żądają w imię tych samych zasad i dla wyzyskiwanych dostatków, pragnąc zwalić dotychczasowy porządek, aby swój w życie wprowadzić.

»Co? wy własności chcecie być stróżami«,
[tak wołają heloci —
Wy mi mówicie, że ja prawo gwałcę!
Siła przed prawem! nauczacie sami,
Ta sama słuszność w mieczu co i w pałce...

Ja *waszą* mądrość rozwijam i kształcę,
I chcę mieć przystęp do uczty swobodnej,
Bo jestem silny... i chciwy.. i głodny.

Nowe te, zgubne (według poety) teorye, uosabia Asnyk w postaci »bachantki wiedzy«, kroczącej na czele tłumów z okrzykiem:

»Precz z marzeniami — Precz z ideałem! Dziś przewodzą światem bóg ślepej woli.... bóg chaos... bóg atom!....

»Wartość wewnętrzną dzieła — powiada Veron w swej »Estetyce« — powinno się mierzyć podług znamion wrażliwości i wyobraźni, albo prościej podług siły, której dowód daje poeta w malowaniu swych wrażeń«. Stając na stanowisku zupełnie objektywnego estetyka, musieliśmy zaliczyć utwór »Wśród przełomu« do tych, w których najsilniej uzmysławia się siła uczucia i wrażliwość Asnyka, a więc przyznać mu pierwszeństwo przed wszystkimi niemal jego utworami — ale tylko »objektywny« estetyk mógł by tak postąpić, każdy zaś »społecznik« miał by wiele pola do krytyki.

Co do mnie nie uważam utworu tego za kwintesencyę przekonań Asnyka, powstał on, (zdaje mi się, że przypuszczam słusznie) w chwili spotęgowanego rozgoryczenia, w której »wrażliwość psychologiczna« pozwoliła poecie powtórzyć, mimowiednie może, stosownie do utyskiwań wszystkich zacofańców, że jedynym celem rewolucyi socyalnej jest zburzyć kościół, Ojczyznę, własność, rodzinę i t. d. a wszystko to dla tego tylko, aby »zburzyć kształt dawny i zrównać go z ziemią«. Wszakżesz tak myśleć na seryo nie mógł Asnyk, zna bowiem za nadto dobrze nauki społeczne, wie o tem także, że nie dlatego padają w gruzy gmachy przeszłości, by imponownć światu swą ruinę, ale dla tego aby na tych gruzach nowe świetniejsze powstały budowle.

W każdym razie żałować wypada, że poeta w chwili podniecenia, kiedy powstały w jaśni jego chaotyczne obrazy przyszłych walk — nie wspomiał na słowa przedtem wypowiedziane:

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą!«

Że przypuszczenie moje co do warunków powstania utworu »Wśród przełomu« nie jest zupełnie nieuzasadnionem, przekonać się można, przyjrzawszy się bliżej trzeciemu tematowi poruszonemu w ostatnim tomie. Tym trzecim zasadniczym akordem lutni Elego, są rozmyślania filozoficzne, zaprawione pesymizmem, ale zakończone wiarą w zwycięstwo dobra, oraz przekonaniem, że wszelkie działanie „ku powszechnej szkodzie jest próżnym tylko wysiłkiem (a więc zupełnie przeciwnie jak w »Wśród przełomu«).

Osobnej rozprawki wymagało by rozstrząsanie krytyczne filozofii Asnyka, ujętej w szaty poezyi w cyklu „Nad głębiami«, ograniczyć się jednak musimy na naszkicowaniu tylko myśli zasadniczych, stanowiących podstawę utworu.

Cykl ten rozpoczyna się gorzkimi, faustowskimi wyrzekaniami na ograniczoność i słabość wiedzy ludzkiej, albowiem »wieczne ciemności, bezdenne otchłanie« otaczają tajemnicze życie Daremnie szukamy zagadki bytu — odpowiedzi znaleść nie możemy.

Każda zdobycz wiedzy lubo rozjaśnia horyzont naszego widzenia, powoduje zarazem wzrost obszaru „mroków nieprzebytych«. Do jądra prawdy dojść nie możemy pomimo Syzyfowej pracy, gdyż:

Co dostrzedz możemy, jest niczem,
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam wzrok wieczny zasłania zazdro-
[śnie....

»Noc, noc wieczysta!« — woła poeta w rozpaczliwem zwątpieniu, nie upada jednak bezsilny, tylko walczy dalej i nareszcie znajduje punkt oparcia w tem szamotaniu się z rozpaczą. Człowiek jest słabym, to to prawda — rozumuje Asnyk — ale może się podnieść w swem przekonaniu, jeżeli opierać się będzie nietylko na rozumie, ale i na uczuciu, jeżeli się uzna »za jedno ogniwo nieskończonego łańcucha ludzkości i służbie całego człowieczeństwa odda swe siły«

Wtedy nabierze on chęci do życia — śmierć nawet straszyć go nie będzie, bo:

Śmierć — to ciągłego postępu chorąży....
Z jego opatrznej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią«.

Prócz tego wierzy Asnyk głęboko w ostateczne zwycięstwo dobra i dlatego narodowi polskiemu przepowiada lepszą, świetlaną przyszłość — nic go bowiem zniszczyć nie zdoła, jedynie »dobrowolne samobójstwo ducha«. Przed tem dobrowolnem zrzeczeniem się praw do bytu politycznego, przed zaparciem się idei wolności przestrzega wielki poeta i patryota, każe ufać synom okajdanionej Polski w lepszą przyszłość, albowiem:

Szczęśliwe ludy! gdy im w górze świeci
Wolnej Ojczyzny widoma potęga,
Co darząc blaskiem najuboższe dzieci
W podziemia nędzy i boleści sięga.

i w tem, w połączeniu z talentem jakim go losy obdarowały, polega jego wielkość, oraz podstawa czci, jaką go otaczamy.

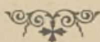

POWIEŚĆ i POEZYA.

Bezdusznym!

O, wy bezduszni, naiwni płaczkowie,
Czemu łzy tylko wylewać umiecie?
Gdy działać trzeba, przechodzi was mrowie,
Drzycie bojaźnią jak nieletnie dziecię.

Wstecz spoglądacie oczyma tęsknoty,
Chcecie zawrócić z drogi postęp chyży,
Zamiast z serc zwątpień powyrywać groty
Drzycie, gdy »nowość« do was się przybliży

W przeszłość wpatrzeni nie widzicie słońca,
Co z za chmur ciemnych zwolna się wyłania —
Kwilicie tylko, płaczecie bez końca,
Bojąc się przyszłej jutrzenki świtania.

* * *

O wy bezduszni! — Brak wam we krwi waru,
Młodzieńczej siły duchowego lotu —
Co w przyszłość wiedzie do słońca, do żaru
Duchownych pragnień, mimo burz łoskotu,

Co w przyszłość pędzi jak mężne Tytany,
Wierzący w siłę własnego ramienia —
Ich sprzymierzeńcem postęp niewstrzymany,
I celem — wielka chwila odrodzenia!...

Niczem więc dla nich więzienia, tortury,
Ich ducha przemoc zdruzgotać nie zdolna,
W ich piersi kipi — dlatego do góry
Dźwigają sztandar z napisem: Myśl wolna!

* * *

O wy bezduszni, naiwni rycerze,
Dawnej swawoli pokorni giermkowie,
Wy nie pójdziecie, jak dzielni szermierze
W przyszłość, gdzie ducha odrodzi się zdrowie.

Ospale, gnuśnie w spłowiałym szkarłacie,
Pokornie, jako pies u pańskiej nogi,
Strażować chcecie — zamiast w majestacie
Skarbnicy myśli, nowej szukać drogi!...

We snie, w spokoju, w ciszy pogrążeni,
Złóżcie swe głowy na spróchniałe łoże;
Rankiem się bez was niebo zarumieni,
I bez was pójdzie świat po nowym torze.

Zdzisław.

Niemczaki.

Ich matce.

Poszła za Niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią; nie mieszkała nawet nad Wisłą.

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która między Nerem a Wartą leżąc, łęczycaków od kaliszanów grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hała-

śliwiej szły by między nimi same stare spory, które, z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie się kończą jednym argumentem: ze strony kaliszanów, że łęczycaki, jak piskorze piją, a ze strony łęczycaków, że kaliszany kiedyś tam zblamowali się szpetną rejteradą. Ano, Bóg z nimi!

Zapadał się tedy ów dwór stary belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdem pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący. Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze starego, prastarego gniazda wyszli i po świecie roztułali się jakoś.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to, jakby tem wiatr pomiótł i tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, niemiec jeden upodobał wielce, a że był młody, przystojny, pracowity, i proceder kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczynina, nad czem stary pan starego dworu, teraz na rezydencyi i krewniaków aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie.

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mawiał stary pan, paląc długą fajkę i kiwając głową. Postaw z bławatu, a wątek pacześny.

Zachmurzał się i mówić o tem wogóle nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu innemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale »szwabem« lub »kupczykiem« nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło. —

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgasło, niż ma degenerować.

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnięcie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wątłe, czem się matka nie mało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakiem oddycha wasza droga dziatwa. Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło...

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacye wziąć?

— A może!

Ale stary pan oburknął się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych szwabów, to ja się zawczasu wynoszę!

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce, a nadewszystko tę atmosferę obywatelskiego życia, od której późno mu było odwyknąć. Tu jeszcze mógł, w ganku stanąwszy, huknąć na całe gardło! »Zaprzęgaj«: tak, że echo, po trzykroć od węgłów stodoły odbite, aż u lamusa gdzieś cichło. Tu chłop, przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze zdejmował, czy był kto, czy nie był w ganku. Tu, co niedziela, siadywał w kolatorskiej ławce, gdzie mu gospodarz, jako starszemu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował: tu wreszcie miał swoją sławną wyżlicę »Czajkę«; i niemniej sławną strzelbę »porucznikówkę«, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatelem.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy układające podróż chłopców zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stację szły, przecież posłyszawszy jak wracająca najtyczanka zaturkotała na podbrukowaniu, a Wojciech z bata palnął — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Raźne to było jak skierki, ruchawe, eleganckie, opięte, ale zmizerowane bardzo. Twarzyczki bledziutkie, jasnowłose, ciałka szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot, chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni takoż, czem dzieci, jakby przestraszone nieco, kłaniały się na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocąc jeden przez drugiego:

— *Guten Tag, lieber Onkel!*

— *Guten Tag, liebe Tante!*

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne splónięcie starego pana, w chwili właśnie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował w powietrze, nie wiedząc właściwie do kogo się zwrócić:

— *Guten Tag, liebster Gross-Papa!*

Służba parskała w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne paniczyki zupełnie jej się wydały podobnymi do tych, nie przymierzając,

małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodarz i gospodyni zachwyceni byli dzieciakami Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obycie się z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ta ich subtelność chwytała za serce, takie to było przejrzyste, takie się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstąpiły chłopców dokoła, dotykając ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torebek podróżnych, a nadewszystko rękawiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu rzecz prosta, nie było na teraz mowy: rekognoskowały dopiero. Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone ustka, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc »buzi«.

— Jak wody! jak wody, tak to dziecko tej buzi daje! Nic nie żałuje! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale starszy pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzył na malców z pod brwi siwych, zsuniętych, krzaczastych.

— No jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli!

— At! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich, jak lalki w pudło, to i przyjechali.

— No, ale ładne chłopaki, sprytne, dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan i, odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka. Poczem cofnął się i drzwi zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec nie bardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś niecoś umie, ale nie tyle, żeby się rozumieć. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy... Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca niemka.

Tak i tak, dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przylgnęła do nich szczelnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: »Niemczaki«.

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt, chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa: »Niemczaki« nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjemnego. Raz wraz owszem, powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie. jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą. Czemu to wy nie jesteście tak, jak Niemczaki, posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i ta do nich, jak skóra, przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nie źle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co się jeszcze milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczakami przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu, on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie »Niemczaki« coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli jako żerdź po płocie, na kolana brał, piosenki im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić się dawał, Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił — ale Niemczakom wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza, wyłączone były z »Instrukcyi«.

Instrukcyą nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy to nosiły kije jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nie przypuszczone do »Instrukcyi« Niemczaki, stały tymczasem zdaleka, miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególniej, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką pożądliwością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do mustry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odktzyknął stary pan gniewnie. A pomiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką »Instrukcyę«. Ręce jak patyki, nogi jak trzcinki, jeszczeby się to połamało do dyaska.

O tych rękach jak patykach i nogach jak trzcinkach, mówiło się ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harcując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męzkiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, coby rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie i to nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas »Instrukcyi« trzeba było szerzej front rozwinąć, albo wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawił. Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo na wygonie, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwytał, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do »Rokity« śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy, młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza; ale ten umiał sekret utrzymać, i kawalerskim honorem równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały.

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę »Instrukcyę», przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starszego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął, i obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencyę — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

Ot! szwabskie małpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę, i z tryumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięztwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył: stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem z cicha:

— A kto ich wie? A może...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od »Instrukcyi« trzymał.

Jakoś i gospodarzowi markotno to było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie »Instrukcyi« podano, spojrzał na starszego z chłopców, i kładąc nogę w strzemie krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten waryat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogą przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wory, a u stodół znów wozy stały, zamało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy!

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopa, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i przewróciwszy go do góry krojem ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę oddał i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie! — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu polatywał drogą.

Stał pan stary w ganku i wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał od gościńca jakiś szalony tentent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować, gdzie i z jakiej strony, już Rokita jak wicher na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo trzymający się w siodle — Niemczak. Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwytał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza!... Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. Choćbyśmy go Stachem nazwali? . . . .

. . . .

Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a on z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

Marya Konopnicka.

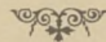

Hymn do pracy.

Kantata odspiewana podczas otwarcia Wystawy kraj.
(Muzyka Wł. Żeleńskiego, słowa St. Rossowskiego).

Długo na nasze rzucała niwy
Bezwładna rozpacz chmurne swe cienie,
Zwyciężył w końcu słońca blask żywy,
Mrok rozpędziły promienie.

To myśl, jak słońce, co sił ogniem wre,
Ku nam oblicze płomienne obraca;
A jako dziecię ku matce, tak Praca
Do tego słońca wzniosła dłonie swe.

Wzniosła swe dłonie tęsknie, miłośnie,
Wyrwana z więzów smutku i złudy;

Spieszy do celu, wzmaga się, rośnie,
Odkąd za pancerz ma trudy.

Pobłogosław, Boże, pracy tej;
Dozwól, niech przeszkód zapory zgruchoce,
Niechaj obfite uzbiera owoce, —
Słodycz tryumfu w kruże nasze zlej!

Do pracy! Do pracy!
To naszem hasłem, rodacy!
Do niej, jak jeden mąż, garnijmy się,
By z głazów zbawczą wykrzesać skrę.

Do pracy! Do pracy!
W jej blasku cały świat
Ziszczonym Polski przyklaśnie snom.

Do pracy! Do pracy!
W niej lepszych zapowiedź lat,
Na głowę wrogów najcięższy grom.

ECHA POLSKIE.

Na Wawelu...

Stało się już. Jego Exellencya Kardynał Dunajewski pogrzebany na Wawelu nie z woli i życzenia narodu, lecz z polecenia ministra austr., dla którego Wawel ma chyba takie znaczenie jak dla nas wszelkie Wallhalle. Gdyby mię kto zapytał: czy można w Walhalli pogrzebać poczciwego Kneippa, prawowiernego katolika (podobno), wzorowego proboszcza, znakomitego wynalazcę metody kuracyjnej chłodną wodą i kawy słodowej, powiedziałbym: pochowajcie mili Niemiaszkowie, skoro go uważacie za wielkiego człowieka. Taką samą myślą kierował się minister austryacki, udzielając pozwolenia na złożenie zwłok kardynała Dunajewskiego na Wawelu.

Ale nie odezwał się w Polsce całej ani jeden głos, oprócz księży i Stańczyków, któryby życzył sobie pogrzebanie Dunajewskiego na Wawelu. I słusznie bardzo. Co kardynał Dunajewski, który dla narodu był zwykłym obywatelem, ma robić na Wawelu obok grobowców Łokietków, Kaźmierzów, Sobieskich, Kościuszków, Mickiewiczów? Naród wyznaczał tam miejsce dla największych i najznakomitszych ludzi swoich, dla tych którzy budowali Polskę, którzy orężem swoim sławę jej głosili, którzy w sile i potędze własnego ducha skupili wszystko, co naród przemyślał i przebolał, przerabiając to na nadzieję i otuchę dla przyszłych pokoleń. A kardynał Dunajewski? Był kardynałem. Zapewne, wielka to godność w kościele, lecz Wawel nie jest miejscem pogrzebu dla dostojników Kościoła, lecz dla ludzi zasłużonych c a ł e m u narodowi. Nie ujmujemy zasług obywatelskich Dunajewskiemu, ale przez spełnienie obowiązków obywatelskich nie wiedzie jeszcze droga na Wawel, bo pod tym względem umierali więksi i zasłużeńsi. Kładziono ich do zwykłych grobów, w zwykłych sosnowych trumnach chociaż naród cały pamieć ich i pracę czcią otacza, bo ich spuścizna duchowa krzepi i żywi nas dotychczas.

Odwołać tego, co się stało, niepodobna. Podnosimy jednak głos w tej sprawie, ażeby opinję publiczną uczynić czujniejszą na przyszłość. Chcemy, ażeby Wawel był miejscem naszej chwały lecz nie próżności, nagroda wielkiej zasługi dla narodu, lecz nie cmentarzem księżowskim, ażeby o tem, kogo mamy położyć tam na wieczny spoczynek, decydował naród cały, lecz nie koterya stańczykowska. Ta samowola w rozporządzaniu się miejscem na Wawelu, przy pomocy niemieckich ministrów, doprowadzić może do tego, że cała falanga «gasicieli ducha», propagatorów wszelkiej zgody z losem, znajdzie się tam, gdzie naród kładł obrońców swojej samodzielności.

* * *

Podnieśmy lud!

Wybudowano nam gmach wspaniały, w którym tysiące widzów patrzą, jak białe sukmany z gołemi prawie rękami, idą na carskie armaty, wszyscy powtarzają że tylko *ludem*, przez *lud*, za pomocą *ludu*, razem *z ludem* możemy dojść do odrodzenia, ale warto się przypatrzyć, jak te białe sukmany bywają traktowane *w praktyce* przez tych samych, którzy te hasła powtarzają, nawet przez przedstawicieli naszej przesławnej autonomii. Jeśli chłopek, kmiotek, wieśniak, włościanin, czy jak tam nazywają posesionata mniejszej własności nasi inteligenci, ma wiedzieć, że jest obywatelem, że ma bronić wspólnej Ojczyzny, trzeba go nietylko dopuścić do wspólnego życia politycznego, ale zachęcać do niego. Zachęcamy zaś następującym spo-

sobem. Zwołany został na 24 czerwca wiec ludowy *(przez lud, ludem, z ludem i t. d.)* do Krosna; otrzymano należyte pozwolenie, parę tysięcy włościan zeszło się, aż tu *telegraficznie* zawezwano na 22-gi radę Wydziału krajowego Michalczewskiego na lustracyę gminy, aż z Horodenki, i korzystając z tego, 23-go p. burmistrz Czaykowski odmówił pozwolenia na odbycie zgromadzenia w sali ratuszowej, ponieważ *ona będzie potrzebną dla p. radcy.* (NB. p. radca wcale tego nie żądał). Ale cel został dopięty, zgromadzenie zahamowane *w przeddzień* wiecu, odbyć się nie mogło. *quod erat demonstrandum.* Gdyby posesionaci mniejszej własności mieli reńskie i czas wolny od czerwcowych robót, można by było autonomicznemu hamulcowi zaradzić, ale że oni zbyt wielkich pieniędzy, ani zbyt wolnego czasu zwykle nie posiadają, musieli się rozejść z największem oburzeniem, straciwszy za darmo i dnie i centy. *Podnieśmy lud!*

* * *

Pastoris ad exemplar.

Ci, którzy stoją na czele narodu, dostatecznie nam pokazali podczas uroczystości Kościuszkowskich, że nic wspólnego mieć nie chcą z pamięcią *jakubina* z przed stu laty, towarzysza kalwina, Waszyngtona, i małego Robespiera (jak pisał śp. Lichocki) X. Hugona Kołłątaja. Pamiętamy wszyscy, jak zamknięto na kłódkę lwowską ambonę, ponieważ w kościele miejsca nie ma dla politycznych manifestacyi. I owszem: kłódka ta była zupełnie legalną. Ale widać, że takie miejsce się znajdzie, skoro owe manifestacye będą podobne do tej, jakiej się dopuścił ks. kaznodzieja *Wala*, ze Zgr. OO. Dominikanów w Bohorodczanach, przy poświęceniu tablicy pamiątkowej *jakubina* Tadeusza, 10. czerwca Kościuszkowskiego roku. Dowiedzieliśmy się, że obchodami kierują *podłe pismidła*, *Przegląd Lwowski* i *N. Reforma*, że błogosławieństwa Bożego nie będzie, i kazano nam odmówić za Ojczyznę *Wieczny odpoczynek (sic).* Prawda że ks. kaznodzieja natychmiast zaprotestował co do *Przeglądu* — i rzeczywiście, albo on się omylił, albo osłyszał się reporter; ale te wywnętrzania się czcigodnego księdza zbyt pasują z tonem wszystkich jemu podobnych, by nie były aż nadto prawdopodobnemi.

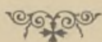

Moralność w polityce.

(Ciąg dalszy).

III.

Wśród rozlicznych, dobrych i złych skłonności, jakiemi natura ludzka jest obdarzona, istnieje jedna zasługująca na miano: skłonności do wyznania się. Ludzie lubią się wywyższać jedni nad drugich; lubią stroić się w przymioty, jakie przywłaszczyli sobie często przez nadużycie; lubią przybierać przywileje i prerogatywy, oraz stawiać się po nad prawem. Jestto właściwością jednostki pojedyńczej, jakoteż i zbiorowej. Czyż nie widzimy jednostek ludzkich, przypisujących sobie zalety wyższe od otoczenia swego, wznoszących się na szczudłach i wymagających dla siebie oznak szczególnego poznania? Wymagania podobne przepisywane bywają miłości własnej, próżności lub zazdrości, — i słusznie. Zadawalania się je często, o ile przychodzi im na pewne siła, bądź umysłowa, bądź materyalna, bądź to po prostu siła fizyczna. Jednostkę silną się ochrania, otacza się ją pieczołowitością, stwarza się jej odrębne stanowiska wśród własnego otoczenia. Wywyższoną jest nad prawo ogólne. Toż samo dzieje się z rodzinami względem innych rodzin, z gminami względem gmin innych, z prowincyami względem prowincyi. Skłonność ku wyrównaniu się nurtuje ich tak, jak osobników zwyczajnych; a gdy się wmiesza interes materyalny, stanowi ona między jednostkami, rodzinami gminnemi lub prowincyami zarodek zawiści, któraby się przerodziła w nieustająca walkę, jak to się dawniej działo, gdyby ich siła nie powstrzymała. Ludzkość przebyła już to. Jednostki ścierały się z sobą od pierwszego spotkania, jeżeli tylko miały pretekst do sporu; miasta walczyły ze sobą o nic, — o wiadro wody: Genewa prowadziła wojnę z gminą Hermance z powodu łodzi, jakie ta ostatnia do swego portu zaciągała. Cóż sprowadziło koniec takiego stanu rzeczy? Sprawiedliwość — bezpośredni wynik moralności.

Owóż sprawiedliwość, a zatem i moralność, zatrzymuje się na progu, który się przekracza, przechodząc z prowincyi. Tu traci ona siłę — dla czego? ponieważ nie są to gminy ani prowincye; — ponieważ nie jest to już Saint — Denis, Sceaux i Paryż, obwody, składające sią na departament

Sekwany, ani departamenta Sekwany, Seine-et- Marne, Seine-et-Oise składające się na Francyę, lecz Francya, całość nie będąca i nie mogąca być niczem jak tem, czem są jej części składowe, — nie różniąca się od nich w niczem. Francya bez departamentów, bez gmin, bez rodzin, bez jednostek, byłaby pustym wyrazem.

Jest ona pod wszelkiemi względami, pod względem narodowym, społecznym ekonomicznym, przemysłowym, naukowym, literackim, artystycznym, tem — do czego ją zniewalają jej części składowe; stanowi w powiększeniu ich obraz, jest zatem, wziąwszy rzeczy na odwrót, tem, czem one są. Między niemi a nią niema różnicy. Niema zatem racyi powoływania się na różnicę, aby usprawiedliwić powstrzymanie moralności u progu Państwa.

Powstrzymanie to nie wpływa, w zasadzie przynajmiej, na stosunek Państwa; do prowincyi, ani prowicyi do Państwa lecz ma ono wpływ wyłączny na stosunki Państwa zewnętrzne.

Państwo uważa się za uwolnione od stowarzyszenia się od zasad moralności względem innego Państwa, złożonego, podobnie jak i ono, z części obowiązkowo stosujących się do niej.

Trudno nie dojrzeć w tem nieprawidłości uderzającej a potwornej. Między osobnikami, między prowincyami, między państwem a prowincyą, prawo pięści pozostaje historycznem wspomnieniem średnich wieków; między Państwem a Państwem zachowuje całą swą siłę. Podobny stan rzeczy wywoływałyby głębokie oburzenie, gdyby się do niego nie przyzwyczajono.

A na czem się upieramy dla poparcia tego? Na racyi Stanu, racyi osobliwej, podwójne oblicze: jedno obronne, polecające na ubezpieczeniu nietykalności Państwa, interesów jego i honoru; drugie zaczepne, mające na widoku zwiększenie jego obszaru i podniesienie jego znaczenia. Dla ochrony prowincyi, gmin, rodzin i jednostek w ich wzajemnych stosunkach, wystarczają prawa; w tem jeszcze co do tyczy — względnie do ich sfery działania — zwiększania i znaczenia, prawa również rządzą sposobem dojścia do majątku i poważania ludzkiego. Prawa bywają niedostateczne, błędne krzywdzące nawet, najgorsze wszakże jeszcze są dobre — *dura lex, sed lex* — powściągają bowiem nadużycie władzy, niedopuszczając wymierzenia sprawiedliwości; z drugiej zaś strony ponieważ podlegają doskonaleniu się, doskonalą się i coraz to właściwiej spełniają swoje zadanie. Czyż nie osiągałyby tego samego skutku w stosunkach międzynarodowych, gdyby Państwa nie przyznawały sobie przywileju, przeciwnego moralności praktycznej, wymierzania samym sobie sprawiedliwości, będąc w swej własnej sprawie, zarazem stroną, sędzia oraz wykonawcą?

Tak się dzieje jednakże. Na takim fundamencie opierają się stosunki międzynarodowe. Każde Państwo jest samo sobie sędzią.

Maleńkie i słabiutkie królestwo siamskie popełniło względemi wielkiej i potężnej Francyi czyn napiętnowany jako zbrodniczy. Czy taki, gdyby popełnionym był w pewnej prowincyi ku szkodzie innej prowincyi, odesłanym by został przed kratki trybunału, by było zadośćuczynienie o tyle, zaszczytne o ile sprawiedliwe. Ponieważ atoli zajscie to dotyczyło dwóch Państw, nie było mowy o trybunale, nie istniejącym dla spraw tego rodzaju, ani o sądzie rozjemczym, praktykującym się kiedy nie kiedy, w razie kiedy strony sporne nań przystaną. Strona pokrzywdzona, Francya, podjęła się osobiście osądzenia, lub raczej skazania i wykonania wyroku przed wydaniem jakiegokolwiek bądź sądu, lub bodaj pozoru sądu. Wyrok poprzedził wszelkie formalności jurydyczne, wyrok ostateczny, bez możliwego protestu, zważywszy — rys to charakterystyczny — bezsilność przeciwnika. Gdyby w miejscu królestwa Siamu znajdowało się, dajmy na to, Cesarstwo Indyjskie, przebieg rzeczy byłby zapewne odmienny, strony byłyby się może odniosły do sądu rozjemczego. Lecz Państwo potężne nie krępowało się niczem względem Państwa słabego, i bynajmniej się nie zatroszczyło o to, czy sprawiedliwość, jaką sobie wymierzyło bez niczyjego pośrednictwa, była, lub nie, zgodną z moralnością. Być może, że się z nią zgadzała. Nie wypowiadamy swego zdania w tej mierze; przytaczamy tylko ten przykład, ponieważ jest jeszcze dość świeżym i wykazuje w sposób niezbity ile podobne postępowanie pozostawia do życzenia pod względem moralności, — która powinnaby regulować sprawiedliwość w stosunkach międzynarodowych. *(C. d. n.)*

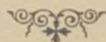

SZTUKA.

NASZA MUZYKA.

III.

»Gdybyśmy Mascagniemu nie mieli nic więcej do zawdzięczenia — powiada niemiecki krytyk Pfohl w swojem dziele »die moderne Oper« — jak tylko nowe potwierdzenie z jednej strony tego, że przedstawienie zimnych intryg państwowych i wypadków historycznych, należy li tylko do poety epicznego lub do historyka, nie zaś do kompozytora oper; z drugiej zaś strony tego, że nowoczesna opera jest tylko formą objawienia uczuć czysto ludzkich i że jej zadanie leży li tylko w przedstawianiu starych jak świat, odwiecznych problemów ludzkości i myśli ludzkiej, uwolnionej od dziwów mitologii i romantyczności, — to zasługa jego przy energii, z jaką Mascagni to wszystko w operach swoich rozwinął, nie jest wcale małą. »Cavalleria« — chociaż jako dzieło sztuki może bardzo wątpliwej wartości, dla historyi nowoczesnej opery ma wielkie i daleko idące znaczenie, gdyż stawia ona punkt wyjścia dla nowego kierunku. Ta »nowość« objawia się nie tyle w stylu i formach, jak raczej związaną jest jak najbardziej z oryginalnością dramatycznej treści, która wzięta z życia ludu, zupełnie się tylko do tego odnosi. Ów oryginalny dramatyczny charakter, owa »nowość« tej sztuki, wypływają z zupełnej zmiany stanowiska, jakie lud, jako właściwy przedmiot artystycznego przedstawienia w »Rycerskości« i werystycznych operach zajmuje.

Jeśli się przypatrzymy operom dawniejszym, ujrzymy, że lud, jako taki, odgrywał w nich rolę zwykle podrzędną. Był on — jak mówi Pfohl — tłem, dekoracyą, czterogłosowym chórem, ale prawie nigdy nie był osobą działającą. I w tym właśnie silnem położeniu nacisku na lud, jako na główny czynnik dramatyczny, leży główna zasługa »werystów«. Jak w poezyi i literaturze, tak i w muzyce musiał ten zwrot nastąpić, a im bardziej stosunki socyalne będą zbliżały warstwy wyższe do niższych, tem więcej kierunek ten będzie się rozwijał i tem piękniejsze wyda owoce.

Moniuszko, pisząc swoją »Halkę«, musiał mieć zapewne przeczucie tego kierunku, ale libretto tej opery jest pisane jeszcze zupełnie na starą modłę. Lud nie jest tam też niczem więcej, jak tylko chórem, a bohater i bohaterka, jakkolwiek pochodzą z ludu, odbijają odeń dość jaskrawo. Jontek i Halka rozpaczają sentymentalnie; tak, a nie inaczej rozpaczają mniej więcej we wszystkich operach bohaterowie i bohaterki. Przypatrzmy się natomiast rozpaczy Santuzzy. Pominąwszy gorący, namiętny temperament chłopki włoskiej, ujrzymy ogromną różnicę w traktowaniu jednego i tego samego tematu. Santuzza znajduje się w tem samem położeniu, co i Halka; obie kochały i obie wierzyły słowom kochanka — niestety zwodniczym. Obie wreszcie przekonały się o jego zdradzie — i właśnie w tem stadyum postać Santuzzy, traktowana realistycznie nie traci na swej chłopskości, jest na wskróś prawdziwą, podczas gdy postać Halki wypada blado, mdło, sentymentalnie.

Są jednak i w librecie Wolskiego szczegóły, odmalowane z prawdą realistyczną, która zadziwia, jeśli mamy w pamięci czas, w którym utwór ten był napisany; że przypomnę tylko ów moment ze sceny trzeciej aktu ostatniego, gdy lud składa życzenia młodej parze z całą uniżonością, a tylko jeden Jontek rozgoryczony ośmiela się zamącić ogólną harmonię dyssonansem. Lud spiewa: »Niech Bóg da wam długi wiek i mienie«, Jontek zaś na cały głos woła: »I cierpienie!« Wtedy straszny Dziemba, postrach chłopów zapytuje surowo: »Któż to z pomiędzy Was odezwał się?...« a potulne chłopstwo drżąc z trwogi usprawiedliwia się: »Nikt, nikt!«

Nie możemy sobie jednak wytłómaczyć, dla czego w czasie, kiedy »Rycerskość« Mascagniego zadziwiała i rozpłomieniała już publiczność obu półkul, głosząc nową erę dla historyi oper, wprowadzając nowy kierunek i nowy czynnik do opery lud, wykazując zarazem dobitnie, że przedstawienie wypadków historycznych nie należy do kompozytora oper, (co zresztą dawniej już udowadniał Wagner), dla czego, powtarzam, w tym czasie Jarecki wystąpił ze swą »Barbarą Radziwiłłówną«, operą na wskróś historyczną, której powstanie mogło w sam czas przypaść na lata 1840—1850, kiedy to rządził Meyerbeer ze swoimi »Hugenotami« i »Prorokiem«. Że opera historyczna w naszych czasach nie ma wielkiego pola do popisu, doświadczył także i Leoucadello na swych »Medycyuszach« i zdaje mi się, że

się wcale nie mylimy, jeśli każdej nowo powstałej operze historycznej długiego życia nie prorokujemy.

Lud, li tylko lud, który jest obecnie motorem całego społecznego życia, może być dramatycznym czynnikiem nowoczesnej opery, jak również dramatyczny węzeł libreta może polegać li tylko na czysto ludzkich uczuciach, leżących w naturze każdego człowieka bez różnicy stanu.

Edmund Walter.

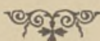

ROZMAITOŚCI.

Zjazd literatów i dziennikarzy. Lwowskie Koło literacko-artystyczne ogłasza: »W uzupełnieniu odezwy z listopada 1893 r., mamy zaszczyt zaprosić wszystkich pracowników pióra na zjazd literatów i dziennikarzy polskich, który odbędzie się we Lwowie w dniach 18. do 22. lipca b. r. Prawo udziału w zjeździe ma każdy, zajmujący się sprawami literatury, dziennikarstwa i oświaty. Karta udziału wynosi 5 złr. Kobiety, nie literatki, wprowadzone przez członków zjazdu, płacą 2 zł.

Członkowie zjazdu otrzymują »Pamiętnik zjazdu«, obejmujący w jednej książce referaty, a w drugiej sprawozdania zjazdu. Opłaty należy nadsyłać na ręce wiceprezesa Koła literacko-artystycznego A. Skotnickiego. Każdy z przybywających do Lwowa 18. i 19. lipca otrzyma w biurze kwaterunkowym zjazdu na głównym dworcu kolei we Lwowie, a w następnych dniach w Kole literacko-artystycznem (gmach teatralny) kartę wstępu, upoważniającą go do wzięcia udziału w zjeździe, kartę na zamówione pomieszkanie i szczegółowy program przyjęcia i obrad zjazdu. Mieszkania można zamawiać wcześniej, uwiadamiając sekretarza Koła literacko-artystycznego, w jakiej cenie ma być mieszkanie i ile osób. Karty udziałowe i karty na zamówione mieszkania mogą być na żądanie pocztą wysyłane. O zniżeniach ceny biletów kolejowych podadzą pisma bliższe szczegóły. Kupujący bilety mogą się poinformować w kasach kolejowych. Przed rozpoczęciem zjazdu, t. j. wieczorem 18. lipca b. r., odbędzie się przyjęcie uczestników w Kole literacko-artystycznem w celu wzajemnego poznania się.

Wszelkich informacyi udziela Koło literacko-artystyczne we Lwowie.

Na zjazd przyrzekli dotychczas swój przyjazd z Zagrzebia panowie: Ljuba Babiec, romansopisarz, Tadeusz Smiciklas, członek akademii umiejętności, prof. Józef Stare i dr. Miliwoj Szrepel. Redakcya *Obzór* przyrzekła przysłać swego przedstawiciela, zaś pp. Tomier i Wolnegowicz oświadczyli gotowość urządzenia pociągu wystawowego do Lwowa, nadto przyrzekli swój współudział w zjeździe: dr. Tavczar, dr. Voszniak i znany archeolog dr. Leopold Möllner, zaś ks. kan. Einspieler zaofiarował z swej strony wszelkie poparcie. Z Pragi zgłosili się dotychczas z zamiarem uczestniczenia w obradach zjazdu pp.: Jarosław Vrchlicki, Kvapil, Jelinek, tudzież redakcya *Hlasu Naroda.* Wybierają się również na zjazd: dr. Józef Sztolba z Pardubic, dr. Karol Pipich z Chrudimia, wreszcie dr. Krzysztof Kessiakow z Sofii.

Międzynarodowa wystawa w Brukseli odłożoną została przez komitet urządzający na r. 1897, gdyż z powodu wielkiego zakroju nie mogłaby być przed wyżej oznaczonym terminem ukończoną.

Międzynarodowy kongres dla polityki celowej ustawodawstwa robotniczego odbędzie się tego roku w Antwerpii w czasie od 16. do 21. lipca pod przewodnictwem belgijskiego ministra finansów. Z ważniejszych spraw będących na porządku dziennym wymieniamy: statystyka ruchu handlowego, jej wartość, metody i błędy; taryfy różniczkowe i cła różniczkowe; cło ochronne i cena pracy; urzędy rozjemcze pomiędzy robotnikami i pracodawcami; wyniki oznaczenia minimum płacy i maximum godzin roboczych przy robotach publicznych; praca akordowa; międzynarodowa organizacya pracy; organizacya robotników.

Długi miast. *St. Pet. Wied.* zawiadamiają, że ministerstwo spraw wewnętrznych zgromadziło materyał, dotyczący długów ciążących na miastach. Z obliczeń pokazuje się, że największy dług ciąży na Moskwie 11,295.307 rs., potem idzie Warszawa 6,151.858, a dalej Odessa 4,247.185 rs.

Emigracya włościan z powiatu humańskiego, gub. kijowskiej, jak zapewniają dzienniki tamtejsze, pomimo zapowiadającego się urodzaju, znowu się wzmaga. Emigrują przeważnie włościanie małorolni.

Koniec teatru Wolnego. Pod nazwą »Théatre Libre« istniała w Paryżu od lat kilku scena, która otwierała zawsze swoje podwoje na przyjęnowego dzieła, odznaczającego się jakimś radykalnym pierwiastkiem. Prowadził scenę niejaki p. Antoine w ciągu lat siedmiu z odwagą niewątpliwą, wbrew rutynie i przyzwyczajeniu publiczności, torując nowe drogi dla sztuki. Uczęszczanie do teatru Wolnego nie należało do rzeczy towarzyskich, kobiety unikały przedstawień, gdyż mogła je tam spotkać nieprzyjemna niespodzianka. Ale trzeba p. Antoine'owi oddać tę sprawiedliwość, że świat zapoznał z dziełami młodych zwłaszcza autorów, którzyby nie znaleźli miejsca dla siebie gdzieindziej. Na scenie tej służono bezwzględnej prawdzie przedstawienia, dbano o utwory niechętnie widziane w innych teatrach; stąd wzrosła oryginalność teatru

Wolnego i jego powodzenie. Obecnie dyrektor zrobił na tym teatrze majątek i zamknął go, jako dla niego zbyteczny.

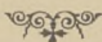

NEKROLOGIA.

Władysław ks. Czartoryski, syn ks. Adama, byłego ministra cara Aleksandra I. i prezesa rządu narodowego w r. 1831, zmarł w Paryżu 24 czerwca, w 67-ym roku życia. Nieboszczyk wiele się zasłużył krajowi założeniem Muzeum imienia Czartoryskich w Krakowie, i podtrzymywaniem w Paryżu instytucyi polskich, które przeszły teraz na własność krakowskiej Akademii umiejętności. Książe był uznaną głową stronnictwa arystokratycznego polskiego za granicami kraju, i dwa razy skoligacony małżeństwem z Burbonami: pierwszą jego małżonką była księżniczka Marya, córka królowej Krystyny hiszpańskiej z drugiego małżeństwa, a zatem przyrodnia siostra królowej Izabeli; drugą księżniczka orleańska Małgorzata, córka ks. Nemurskiego, wnuczka króla Ludwika Filipa. Jedyny syn z pierwszego małżeństwa Franciszek zmarł w zakonie Salezyanów w Turynie w r. 1892, i zapisał zakonowi cały swój majątek. Obecnym przedstawicielem starszej linii Czartoryskich po śmierci ks. Władysława, jest starszy syn jego z drugiego małżeństwa ks. Adam Ludwik

Działalność polityczna zmarłego księcia, chociaż nie tak wybitna jak jego ojca, ks. Adama, nie może być nazwana dodatnią dla Ojczyzny naszej. Przyznając mu tę zasługę, że się nigdy nie wyparł stanowiska patryotycznego, jak n. p. margrabia Wielopolski i inni przedstawiciele pierwszych naszych magnackich rodzin, zaznaczyć musimy, że wiele się przyczynił do spaczenia kierunku powstania 1863 r., i do zepchnięcia sprawy polskiej na takie tory, na których straciła sympatyę całego cywilizowanego świata, gdyż ci nawet, których chciał zyskać poparcie, a mianowicie wsteczne stronnictwa, najzupełniej zawiodły jego oczekiwania. W ostatnich latach zmarły porzucił wielką politykę, w której doznał tyle zawodów, i zajmował się głównie sprawami oświaty, za co mu się godziwa pochwała należy. Rodzina Czartoryskich, kilka razy nawiedziona przez śmierć w ostatnich latach, straciła w nim najznakomitszego swojego członka.

Ks. Albin Dunajewski, biskup krakowski, kardynał, ur. 1817 r. w Stanisławowie, zmarł w Krakowie 19. czerwca br. Zmarły, jako akademik, w r. 1841 był aresztowany we Lwowie, gdzie przesiedział w więzieniu 3 lata, a następnie w Spielbergu 4 lata. W r. 1861 wyświęcony na kapłana, wkrótce został powołany przez arcybiskupa Felińskiego na rektora seminaryum w Warszawie. W r. 63-im ks. Dunajewski uszedł szczęśliwie przed prześladowaniem rządu moskiewskiego i od tego czasu stale przebywał w Krakowie. W roku 78-ym został biskupem, w 80-ym kardynałem. *Cześć jego pamięci!*

Floryan Groszeny Bohdanowicz, były właściciel dóbr, były docent politechniki lwowskiej, powstaniec z r. 1863, więzień stanu w Kijowie i wygnaniec na Syberyi w r. 1878—1883 zmarł w Oszechlibach na Bukowinie w 54-ym roku życia po długiej i nader ciężkiej chorobie, nabytej w carskich więzieniach. Nieboszczyk, autor »Pamiętnika więźnia stanu«, tłumacz »Syberyi« Jerzego Kennana, i niektórych dzieł rosyjskiego satyryka Szezedryna odznaczał się szlachetnym do idealności charakterem, pogardą dla wszelkiej osobistej korzyści, co się spotyka coraz rzadziej w tym materyalistycznym wieku. Stracił też wszystko dla idei narodowej, oprócz wdzięcznej pamięci tych, których oświecał nauką i własnym przykładem, i głębokiej czci wszystkich, którzy go znali i kochali w kraju, na polu walki i na wygnaniu. *Cześć jego pamięci!*

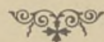

BIBLIOGRAFIA.

Nr. 4 i 5 „Dźwigni“, czasopisma przemysłowo-handlowego, zawiera następującą treść: Oddział I. — 1) Od Redakcyi. -- 2) Otwarcie pow. Wystawy krajowej we Lwowie. Przedstawił »Jeden z przemysłowców«. — 3) Szewstwo II. W sprawie uczni. Napisał B. Smetański. — 4) Towarz. wzaj. ubezpieczeń w Krakowie. Podał »Rogala«. — 5) Telautograf, czyli telegraf, przenoszący pismo i rysunek. Napisał Przemysław. — 6) Technologia, podał K. R. — 7) Kronika »Dźwigni«. — 8) Informacye. — 9) Skrzynka pocztowa »Dźwigni«. oraz kraj. Towarzystwo kupców i przemysłowców. — Oddział II. — 10) W sprawie kraj. Towarzystwa kupców i przemysłowców we Lwowie. — 11) Posiedzenia głównego Zarządu tegoż Towarzystwa. — 12) Kasza orzachowa, podał Dr. M. D. Wąsowicz. (Dokończenie). — 13) Reklama, a handel i przemysł krajowy. Napisał »Wystawca« — Oddział III. — 14) Od Administracyi »Dźwigni« — 15) Czem zapełnić »Oddział III?!. — 16) Pierwszy wynalazek, Ballada, napisana przez »Tubalkaina«. — 17) Krajowa fabryka fortepianów i pianin. — 18) Wiadomości o wyrobach żelaznych. — 19) Ogłoszenia. — Dodatek stały »Szkolnictwo przemysłowe i handlowe«, zawiera: 1) W sprawie »Szkolnictwa przemysłowego i handlowego«. — 2) Potrzeba szerszego rozwoju naszej literatury rolniczej przemysłowej i handlowej, jako dźwigni ekonomicznego rozwoju i dobrobytu. Przedstawił Zygmunt Korosteński. (Dokończenie). 3) Urządzenia ochronne w szkole przemysłowej. Podał prof. B. 4) Techniczne stacye doświadczalne, jako praktyczna szkoła to-

waroznawstwa. 5) Literatura. — Prace kantorowe dr. R. Schillera.

„Rrzedhistoryczne dzieje Indo-Europejczyków“. Pod powyższym tytułem opuściło właśnie prasę dzieło zmarłego profesora Rud. Iheringa, znalezione w pozostałościach literackich po nim. Wydał to dzieło zięć zmarłego uczonego w Lipsku u Breitkopfa i sp. Dziwnem na pozór się wydaje, skąd badacz prawa rzymskiego w ostatnich lat dziesiątku swego życia poświęcił się studyom historycznym. Zagadkę tę rozwiązuje przedmowa. Czytamy w niej bowiem: Zadawał sobie Ihering zawsze pytanie, jaki element kultury wynieśli z sobą Rzymianie z swej prasiedziby, co zyskali w czasie swych wędrówek, a co w swej drugiej nowej ojczyźnie, która, jak mniemał, leżała kędyś w południowej Rosji. W czasie badania tej kwestyi nasunęło mu się dalsze pytanie: Co właściwie przyjęli Rzymianie z kultury narodów semickich tj. Babilończyków, Assyryjczyków, Fenicjan i Kartagińczyków? W ten sposób powstało powyższe dzieło, którego część pierwsza została poświęconą rozwojowi szczepu aryjskiego, a druga różnicy charakteru ludowego między aryjczykami a semitami. Dalsze części omawiają wywędrowanie Aryjczyków z ich praojczyzny, lata wędrówki i usadowienie się w nowej ojczyźnie. Dzieło to do tego miejsca jest wykończone. W części 6. i 7. miała być mowa o powstaniu poszczególnych ludów w Europie i różnicach między niemi. Atoli śmierć nie dozwoliła uczonemu wykończyć wzmiankowanych dwóch części. Wartość dzieła tego już z tego powodu jest niepoślednią, gdyż po raz niemal pierwszy przedstawia nam zapatrywania prawnika na tę kwestyę. Wielkie zasługi około wydania dzieła położyła wdowa po zmarłym uczonym, która przeszło rok przepisywała dzieło to z manuskryptu wielce nieczytelnego.

Wkrótce ma się pojawić drugie dzieło znalezione w tekach po Iheringu, a mianowicie: *„Wstęp do historycznego rozwoju prawa rzymskiego“*.

„Podręcznik fotograficzny“, zawierający całą dla początkującego fotografa potrzebną wiedzę, pojawił się we Lwowie nakładem p. Wiktora Bergera. Tym samym nakładem opuścił prasę drukarską ilustrowauy »Podręcznik dla kolarzy«, napisany przez Kazimierza Hamerlinga i Wiktora Bergera.

Pierwszy polski podręcznik pocztowy, wydał Grzegórz Józef Chlebowski ck. oficjał pocztowy w Krakowie. W »podręczniku pocztowym« znajdzie funkcyonaryusz tej instytucyi wszystko, czego w urzędowuniu swojem potrzebuje, wyłożone w sposób jasny i przystępny, a przedewszystkiem w języku ojczystym.

Nr. 13 „Przeglądu Poznańskiego“ zawiera: Wiec katolicki w Poznaniu. — Polityka. Przegląd prasy słowiańskiej p. K. — Sprawy ekonomiczne. 3,765.702 p. Antoniego Potockiego. — Literatura i sztuka. O tem co boli p. K. R. Żywickiego. — Wilhelm Roscher p. Dr. Z. Daszyńską. — Szkoła i wychowanie. E pur si muove p. Romualda Łazęgę. — Życie społeczne. Kronika krakowska p. K. B. — Kronika berlińska p. Alastora. — Fejleton. Na wyłomie, przez Sullę. Ks. Albin Dunajewski p. K. Bartoszewicza. — Kronika literacka. — Kronika powszechna. — Bibliografia. — Odpowiedzi Redakcyi. — Odcinek. Sensitiva amorosa. Nowe problematy serca p. Ola Hanssona. — Nowocześni pogromcy narodu polskiego i jego przeszłości w literaturze historycznej p. I. Snitko. — Sprostowanie.

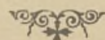

Od Administracyi.

Upraszamy Szan. Prenumeratorów „Słowa Polskiego“ o wczesne nadsyłanie przedpłaty i prosimy o uiszczenie zaległości.

Pan W. Szafarz w Jaśle. Kwitujemy z odbioru 2 zł. 50 ct. na 2 egz. dzieła »Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość«.

Treść: Słowianie i my. — Przegląd polityczny. — Nauka: Spirytyzm, IV. (ciąg dalszy). nap. *Wł. Kozłowski* — Asnyk, jako poeta (sylwetka literacka), nap. *Żdzisław.* — Powieść i poezya: I. Bezdusznym! wiersz *Żdzisława.* II. Niemczaki, nowella *M. Konopnickiej.* III. Hymn do pracy, wiersz *St. Rossowskiego.* — Echa polskie. — Moralność w polityce (ciąg dalszy), odczyt *Z. Milkowskiego.* — Nasza muzyka, III. nap. *Ed. Walter.* — Rozmaitości. — Nekrologia. — Bibliografia. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: **Hipolit Śliwiński.**